NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 doł. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV. Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

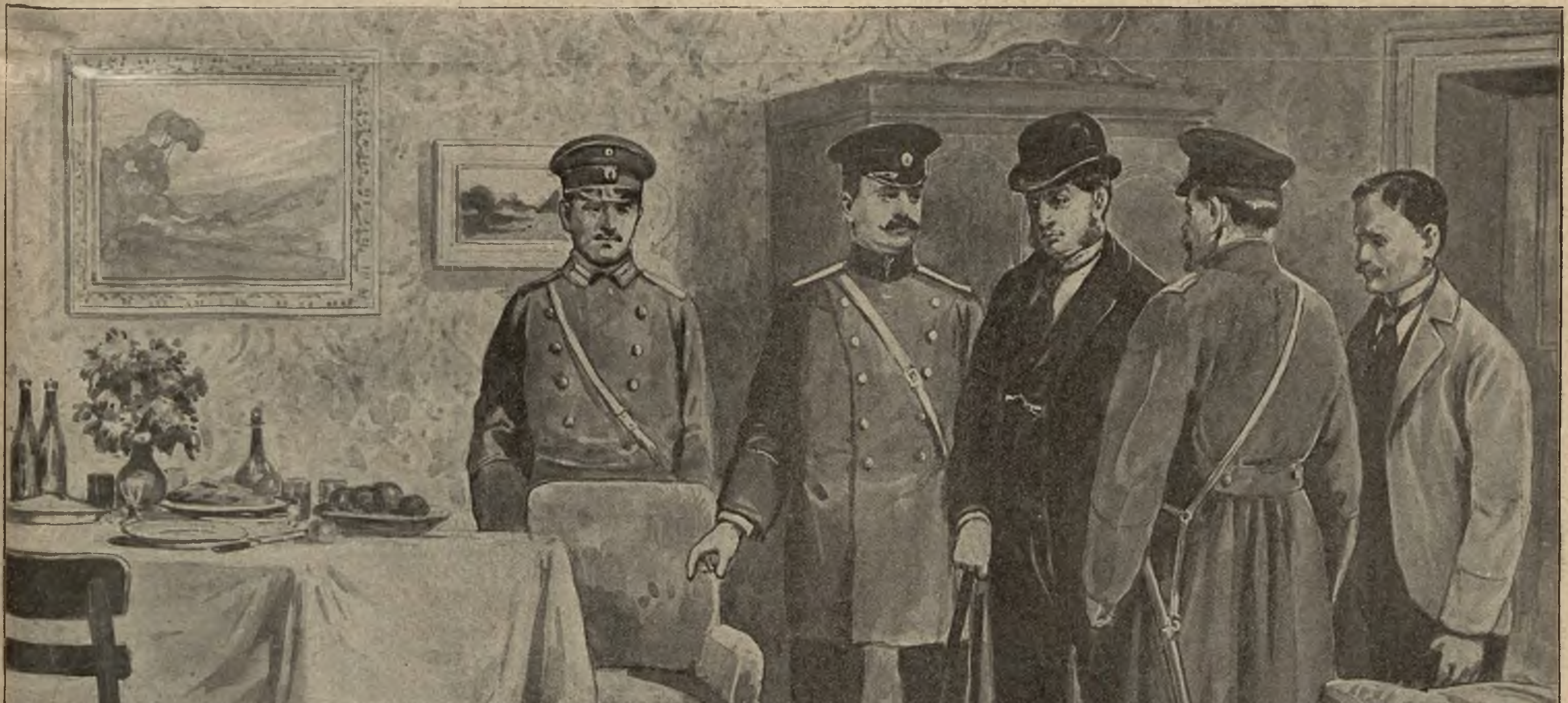
Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 2 września 1911. Nr. 35.

Okropna zbrodnia.

(Treść na str. 2).



Nr. 35. „Nowości illustrowanych" zawiera: Cyganiewicze w Krakowie. — Nowy władca Abissynii. — Kradzież słynnego obrazu. — Zgon znakomitego malarza. — Nowy kościółek na Huculszczyźnie. — Echa strajku angielskiego. — Niedomagania marynarki włoskiej. — Zgon nestora kupców krakowskich. — Wizyty następców tronu w Berlinie.

Okropna zbrodnia.

(Do illustracyi tytułowej).

Znowu zbrodnia w Warszawie, znowu ohydny mord, na kobiecie popełniony, na tle niewątpliwie erotycznem, jak to dziś na porządku dziennym bywa.



Cyganiewicze w Krakowie: Stanisław i Władysław Cyganiewicze.

Ofiarą okropnego czynu jest młoda, przystojna mężatka, Julia Swiątkiewiczowa, sprawcą Stanisław Swierczewski, indywiduum oddawna podejrzane, alkoholik i awanturnik.

Najcharakterystyczniejsze w tej sprawie jest to, iż morderca sam się zgłosił na policyę i zawiadomił władze o zbrodni morderstwa, nie przyznając się jednak, iż on jest sprawcą; opowiedział mianowicie przed urzędnikiem wydziału śledczego, iż przyszedłszy w odwiedziny do swych znajomych Swiątkiewiczów, zastał Julię Swiątkiewiczową martwą, w kałuży krwi leżącą na podłodze.

Wobec doniesienia tego komisya śledcza udała się wraz z Swierczewskim na miejsce wypadku, gdzie oczom ich przedstawił się okropny, wstrząsający do głębi widok. Na podłodze schludnie urządzonego pokoju, gdzie niedawno widocznie bawiono się wesoło, gdyż stół zastawiony był do libacyi, leżały skurczone zwłoki młodej, ładnie zbudowanej kobiety, odzianej w negliż poranny. Głęboka rana na głowie oraz masa krwi, pokrywająca całą twarz, wskazywały jasno przyczynę zgonu młodej kobiety. Obok leżało żelazko do prasowania, narzędzie, którem morderca się posłużył w celu dokonania zbrodni.

Przesłuchany na miejscu Swierczewski powtórzył swe zeznania, przy czem rzucił podejrzenie na swojego szwagra Tomaszewskiego. Wnet jednak okazało się, iż oskarżenie jego było fałszywe i że miało na celu sprowadzenie śledztwa na błędne tory.

Dochodzenia wykazały, że zamordowana prowadziła życie dość lekkie, że korzystając z wielu wolnych chwil, jakie jej mąż, konduktor kolejowy, pozostawiał, szukała znajomości wśród mężczyzn rozmaitej kategoryi i zabawiała się z nimi wesoło, gdy mąż ciężko pracował na kawałek chleba. Wykazały dalej dochodzenia, że w rzędzie wielbicieli przystojnej Julii był i Swierczewski, że i on bardzo często brał udział w zabawach, oraz odwiedzał ją w mieszkaniu. Wobec tego policya zajęła się bliżej osobą donosiciela, a zebrawszy szereg poszlak, świadczących przeciw niemu, aresztowała go, a wziąwszy w ogień krzyżowych pytań, zniewoliła do przyznania się do okropnego czynu.

Okazało się, że wprawdzie Julia przyjmowała Swierczewskiego w domu, że jednak niechętnie to czyniła, gdyż był to człowiek zaniedbany, przy tem alkoholik. Rozdrażniony oporem tej kobiety Swierczewski, w szale i podnieceniu miłosnem zamordował ją.

Illustracya tytułowa przedstawia scenę wkroczenia komisyi śledczej na miejsce zbrodni.



Cyganiewicze w Krakowie: Stanisław Zbyszko-Cyganiewicz.

Cyganiewicze w Krakowie.

Jak już donieśliśmy w poprzednim tygodniu, mają się w pierwszych dniach września odbyć w Krakowie, w cyrku na Błoniach, zapasy pierwszorzędnych siłaczów światowych, w których między innymi wystąpi słynny champion polski Stanisław Zbyszko-Cyganiewicz, znany dobrze publiczności krakowskiej, nadto zaś przedstawi się jako zapaśnik brat jego młodszy, Władysław, rokujący pod tym względem ogromnie piękną przyszłość.

Stanisław Cyganiewicz, zapaśnik dziś światowej sławy, zdobywca wielu pierwszych nagród, karyerę swą rozpoczął już przed dziesięciu laty, biorąc udział w szeregu zapasów grecko rzymskich, w których był prawdziwym mistrzem. Nadzwyczajna siła, a przytem imponująca zwinność i gibkość ruchów, wsparta wytrwałym trainingiem, pozwalała Cyganiewiczowi nietylko na mierzenie się z pierwszorzędnymi zapaśnikami, ale i na pokonywanie ich w walce grecko-rzymskiej.

Jako zapaśnik już wybitny i ogólnie znany, wybrał się Zbyszko Cyganiewicz do Ameryki, gdzie odniósł znowu szereg tryumfów, pokonywując wielu głośnych siłaczów. Próbował również swych sił w zakresie walki wolnej, t. zw. *catch as catch can*. I w tym względzie okazał się zapaśnikiem niepospolitym, pokonał bowiem wielu wytrawnych siłaczów, jedynie słynnemu championowi Gotchowi uległ, który przewyższał go doświadczeniem i trainingiem w tym zakresie walk.

Obecnie, mając za sobą długi training, stawiłby z pewnością skuteczny opór i temu niepokonanemu dotąd championowi amerykańskiemu, który jednak nie chce przyjąć powtórnego wyzwania.

Brat jego Władysław, rozpoczyna dopiero karyerę zapaśniczą. Ukończywszy gimnazyum w Nowym Sączu, przygotowuje się pod kierunkiem brata do przyszłego zawodu. Warunki ma wprost nadzwyczajne. Wyższy wzrostem od Stanisława, zbudowany jest wspaniale; smukły, gibki, muskularny, przedstawia wzorowy typ pięknie zbudowanego siłacza. Niewątpliwie też czeka go przyszłość piękna. Już pierwsze jego występy zapowiadają wiele. Głośny match z szwajcarskim zapaśnikiem Lehmem, zakończył się wprawdzie porażką Cyganiewicza, należy jednak pamiętać, że Lehm jest atletą już od wielu lat znanym i oddawna uprawiającym walkę wolną. Górował więc nad naszym siłaczem i doświadczeniem i trainingiem.

Koła sportowe interesują się żywo dalszą karyerą młodego zapaśnika i czekają z niecierpliwością jego dalszych spotkań w Krakowie.

Z okazyi pobytu obu polskich atletów w Krakowie, zamieszczamy dziś kilka zdjęć, dokonanych w naszej redakcyi.

Wizyty następców tronu w Berlinie.

W bieżącym miesiącu gościł Berlin i dwór cesarski dwu następców tronu, mianowicie Ferdynanda, przyszłego władcę Rumunii, oraz Jussuf Izzedina, syna Mahomeda V., przyszłego sułtana tureckiego.

Obu następcow tronu, którzy przybyli do Berlina w krótkich odstępach czasu po sobie, podejmowano gościnnie, a oczywista rzecz, że większe zainteresowanie towarzyszyło Jussufowi Izzedinowi,



Cyganiewicze w Krakowie: Władysław Cyganiewicz.

już choćby z tego względu, że wyjazdy tureckich książąt krwi, zwłaszcza następców tronu, należą do rzeczy nowych, do prawdziwych rzadkości. Do niedawna mianowicie było tradycyą na tureckim dworze, że rodzina sułtana trzymana była w pewnego rodzaju niewoli i granic pałacu konstantynopolitańskiego nie opuszczała. Dopiero Mahomed V., który sam był niezadowolony z tej długoletniej złotej niewoli pałacowej, przełamał tradycyę i syna swego a następcę tronu, wysyła często zagranicę.

Niedawno zastępował on ojca swego na uroczystościach koronacyjnych w Londynie, poczem odwiedził Paryż, obecnie wybrał się w odwiedziny do Berlina.

Pobyt na zachodzie wywrze niewątpliwie dodatni skutek na przyszłym władcy Turcyi.



Cyganiewicze w Krakowie: Moment z walki.

Niedomagania marynarki włoskiej.

(Do illustracyi na str. 10).

Włosi nie mają absolutnie szczęścia w sprawie zbrojeń morskich, od których zawisło przecież ich mocarstwowe znaczenie. Z pokrzywdzeniem innych działów budżetowych łoży się na budowę okrętów nowego typu kolosalne sumy, w zasadzie pokazuje się raz za razem, iż obliczenia były prawdopodobnie przeprowadzone wadliwie, jeden bowiem okręt za drugim, bezpośrednio po spuszczeniu na morze, okazuje się niezdolnym do służby. Tak było niespełna przed rokiem z pancernikiem „Dante", który okazał się za ciężki i zanurzył powyżej pokładu, choć nie był przeznaczony na łódź podwodną, to samo powtórzyło się teraz z krążownikiem pancernym najnowszego typu „San Giorgio".

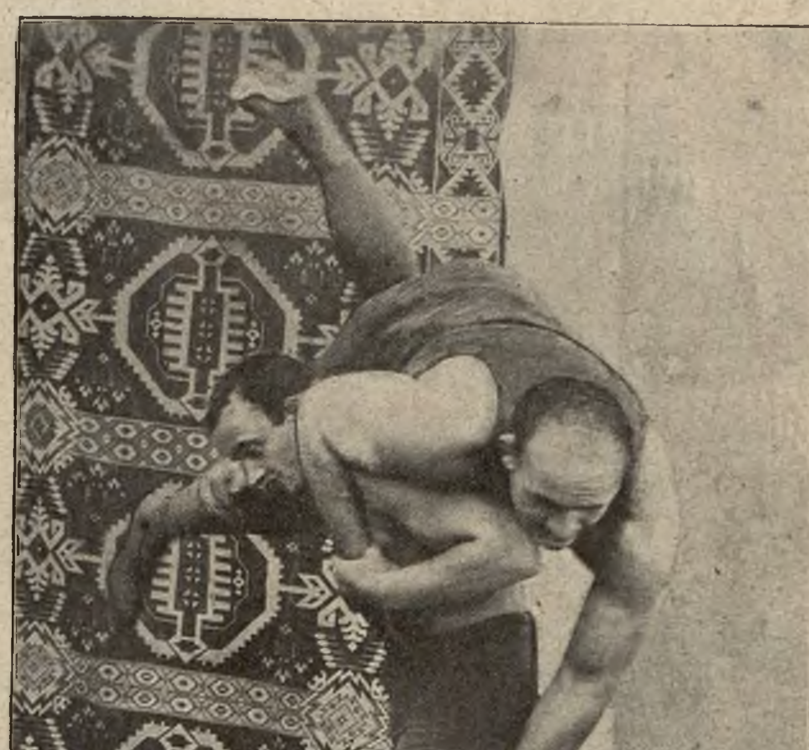
We włoskich sferach rządzących wypadek ten wywołał łatwo zrozumiałe zdenerwowanie i przygnębienie, zwłaszcza że w razie spodziewanej wojny zjednoczona Italia mogłaby liczyć na powodzenie jedynie tylko na falach morskich, głównie Adryatyku, gdzie ubiega się o pierwszeństwo z zaprzyjaźnionemi a przecież wrogiemi sobie Austro-Węgrami. Wychodząc z zasady *si vis pacem, para bellum* zaniedbuje się najniezbędniejsze sprawy, miliony zaś obraca się na zbrojenia morskie, które potem okazują się w praktyce do niczego. Jest to już publiczną tajemnicą, że budżet włoski przedstawia się nader opłakanie, jednem słowem, że grozi tam lada chwila finansowa ruina, tymczasem do wiadomości ogółu dochodzą tak przyjemne wiadomości, jak obecna katastrofa „San Giorgia".

Rzecz naturalna, że szuka się zawsze winnych, ale z zasady nie tam, gdzieby ich można było znaleść.

Według doniesienia pism włoskich, urządzono w ubiegłym tygodniu próbę jazdy nowego pancer-



Cyganiewicze w Krakowie: Cyganiewicze w ubraniach zapaśniczych.



Cyganiewicze w Krakowie: Moment z walki catch as catch can.



Następcy tronu w Berlinie: Następca tronu rumuńskiego, książę Ferdynand.

nego krążownika „San Giorgio“ w okolicy Neapolu. Gdy okręt był już na pełnem morzu zupełnie wyekwipowany i uzbrojony i poruszał się z wielką chyżością, nagle zanurzył się jedną częścią, a woda zalała przestrzenie, przeznaczone na umieszczenie maszyn elektrycznych i przechowanie amunicyi, a także przednią komorę z kotłami parowymi. W pierwszej chwili potracono głowy i nie wiedziano, w jaki sposób ratować zagrożony okręt, później sprowadzono windy parowe i usunięto z pokładu zbyt ciężkie działa dziewiętnasto i dwudziestopięcio-centymetrowe, obecnie zaś przystąpiono do zdjęcia wież pancernych, w których się one mieściły. Pomimo jednak tych środków ostrożności, uważają powszechnie okręt jako stracony i ubolewają nad czterdziestu milionami lirów, które poszły znowu na marne. Komendant zatopionego krążownika ma także nie być bez winy i z tego powodu dwukrotnie już targnął się na swe życie.



Następcy tronu w Berlinie: Następca tronu tureckiego Jussuf Izzedin.

Illustracya nasza przedstawia akcyę ratunkową przy pomocy parowych żórawi, sprowadzonych z portu neapolitańskiego.

Zgon nestora kupców krakowskich.

(Do illustracyi na str. 10).

Z pośród obywatelstwa krakowskiego ubyła jedna z najpiękniejszych i najzacniejszych postaci, sędziwy nestor kupiectwa krakowskiego, ś. p. Henryk Schwarz, który po krótkich cierpieniach rozstał się z tym światem, licząc lat 75.

S. p. Henryk Schwarz, urodzony w Krakowie jako syn znanego kupca, założyciela cenionej firmy, spędził całe życie w rodzinnem mieście, któremu też poświęcił wszystkie siły, dla którego dobra z całem poświęceniem i oddaniem się pracował. Kochając zawód, który sobie obrał, dążył usilnie do jego podniesienia, to też kupiectwo krakowskie już 1880 r. powołało go na swego przewodnika, ofiarowując mu godność starszego kongregacyi. Godność tę piastował ś. p. Schwarz do końca życia, a piastował chlubnie i na sławę kongregacyi. Jubileusz 500 letniego istnienia kongregacyi kupieckiej w Krakowie dał sposobność wszystkim sferom do wyrażenia uznania i czci zasłużonemu seniorowi.

Działalność jego na polu narodowem cechowała przedewszystkiem ogromna życzliwość dla młodzieży handlowej, której śpieszył zawsze z pomocą zarówno materyalną jak moralną, zdając sobie jasno sprawę z tego, że jaką jest młodzież kupiecka, takiem będzie i późniejsze kupiectwo. Stał też ś. p. Henryk Schwarz zawsze na straży godności i honoru polskiego kupiectwa.

Powołany przed wielu laty na członka rady miejskiej, pracował i na tem stanowisku z wielką ofiarnością. Miasto swe rodzinne kochał całą duszą, nie cofał się też nigdy przed udziałem w najcięższej nawet pracy dla jego dobra.

Wogóle nie brakło go nigdy ani na żadnem polu obywatelskiej pracy; obok wspomnianych godności piastował jeszcze wiceprezydenturę izby handlowej i przemysłowej, był zastępcą dyrektora m. Kasy oszczędności, pracował w kilku instytucyach dobroczynnych, dając nieustannie dowody wielkiej humanitarności i filantropii.

W ostatnich latach z powodu sędziwego wieku i wyczerpania wieloletnią pracą, oddał prowadzenie renomowanej swej firmy synowi Leonowi, sam zaś w miarę sił oddawał się tylko sprawom publicznym, służąc miastu do ostatnich niemal chwil zasłużonego żywota.

Zgon ś. p. Henryka Schwarza, który osierocił trzech synów i córkę, wywołał w całem mieście ogólne współczucie i żal.

Cześć Jego pamięci!



Nowy władca Abissynii: Piętnastoletni negus Lidy Jeassu, następca Menelika.

WALERY PRZYBOROWSKI.

CZERWONA MARA

Powieść z dnia wczorajszego.

15)

— Da wy panie śmiejecie się, to śmiejcie. Czy to ja nie dobrze jestem w sobie i czyn jest, koleżskij asesor! A u niej i przydane jest porządne. Dziesięć tysiac całkowych, to nie najdziesz na ziemi. A i ona też jak należy. Tłuściutka, białoruka, ja takie lubię, bardzo lubię, a?

Stanisław śmiał się ciągle i patrzył na chudą, biedną postać Siergieja w wytartej surducinie, spoconego, czkawką męczonego i obcierającego pot chustką z portretem Lwa Tołstoja. A Siergiej gadał:

— Nu, jak wy pan myślicie? ja zacznę madam Schmid kurę robić, a? Jak pan myślicie, przyjmie mię ona. Ja się cały duchami pokropię i kurę zacznę robić, a? jak wy pan myślicie?

— Myślę, że pani Schmid nie wyjdzie już za mąż.

— Wzdor to kakoj! po czemu ona niema wyjść za mąż?

W tejże chwili wszedł na werandę Adam Jasiński uśmiechnięty, słodziutki, rzucający zabójcze spojrzenia na rozweseloną mocno Anielkę i przepraszający obecnych, że się spóźnił, ale wyprawiał w drogę wujaszka Millera i ciotkę Filomenę.

— Więc już pojechali? — spytał Stanisław, robiąc sobie w duszy wyrzuty, że jako gospodarz domu nie był obecny przy wyjeździe ciotki Filomeny, ale z drugiej strony przypomniał sobie brutalne zachowanie się Millera, jego wymysły na nieboszczyka stryja Teodora i rzekł sobie:

— Dobrzem zrobił. Niech dyabli wezmą szwaba!

Jasiński z gracyą prowincyonalnego eleganta usunął się na krzesło obok Anielki i robiąc do niej słodkie oczy, począł jej prawić komplementy; wesołość i gwar przy stole wzmagał się, a Siergiej Bolesławowicz dokończywszy butelki z oczyszczoną, pochylił głowę i usnął snem sprawiedliwego, chrapiąc głośno i marząc o „białorukiej“ madam Schmid, „na której koniecznie chciał się ożenić“.

XXI.

Po obiedzie, gdy Stanisław zajęty był wyprawianiem rejenta Ostrowskiego i jego pomocników, pan Adam Jasiński nieznacznie wymknął się z domu, a niebawem za nim pośpieszył Antek Wiśniewski i Anielka. Siergiej Bolesławowicz Kozłowskij, który, jak wiadomo, nie spuszczał ani na chwilę z oka Jasińskiego, posądzając go o to, że jest szpiclem policyjnym i prowokatorem, podążył za nimi, choć śledzenie to nigdy mu się nie udawało, bo jego żórawia, drewniana postać nie zdolną była do zręcznego ukrycia się w razie potrzeby.

Pod wieczór się już miało, gdy wrócił zadyszany, spocony, zakurzony i odszukał Stanisława, który był zajęty ze stryjaszkiem Józefem zorganizowaniem jakiej takiej obrony, wobec spodziewanego napadu. Właśnie rozmawiali z Orczykiewiczem, którego umyślnie wezwali, jako jedynego z pomiędzy ludzi dworskich na którego pomoc liczyć mogli, gdy zjawił się Siergiej Bolesławowicz i zaraz na wstępie zawołał:

— Wy pany pogoworkę tu wiedziecie, a tam w lesie bunt. Jej Bohu, bunt.

Usiadł zmęczony, brudną czerwoną chustką z portretem Lwa Tołstoja obtarł sobie twarz i na skutek nalegań Stanisława, by się jaśniej wytłómaczył, opowiedział, że w lesie jest „skopiszcze“, na którem rej wodzi Jasiński, Antek Wiśniewski i Anielka, że w „skopiszczu“ tem zauważył Wojtka Macherzynę i Józefkę Podkównę i inne, jak się wyraził, „damy nihilistki“.

— I znacie pany co — kończył — ów szpion Jasińskij, czort jego weź, gadał temu Wojtku, co on także syn Kozłowskiego, co jemu także należy się sukcesya, a to jemu nic nie dali, a kiedy mu nic nie dali, to on sam sobie wziąć powinien. Ja wszystkiego nie mógł słyszeć, bo się bał, coby mię nie zobaczyli, ja sobie i tak sztany podarł, ot patrz pan!

To mówiąc pokazał swe spodeńki, mocno na kolanach rozdarte i domagał się, ażeby mu Stanisław nowe sprawił, boć przecie w jego, to jest Stanisława sprawie taką dotkliwą stratę poniósł.

— Nu, ja w takich sztanach nie mogę w Piter jechać, a sztany były nowe, dziesięć całkowych ja za nie w Pitrze na Karawannej ulicy zapłacił.

Stanisław zajęty i zaniepokojony temi wiadomościami, przyrzekł Siergiejowi, że mu kupi nowe „sztany“, i coprędzej począł go się wypytywać o bliższe szczegóły tego co widział, ale Siergiej nie umiał nic więcej powiedzieć, prócz tego, że w mowach wygłaszanych tam w borze, powtarzano często wyraz „republika“.

— Czort znajet co to takiego — dodawał — jaka tu republika może być? Jaby ich wszystkich w „ku turku“ zapędził i dał im republiku! nu!...

Machnął przytem ręką, jakby kogo bił i straszne oczy zrobił, z czego wujaszek Józef głośno się roześmiał i rzekł:

— Taj serceż ty moje, czas bicia ludzi już minąwszy bezpowrotnie.

Stanisław bądź co bądź z wiadomości, przyniesionych przez koleżskiego asesora, a mianowicie z tego, że Jasiński tłómaczył Wojtkowi Macherzynie, że mu się należy sukcesya i że powinien ją sobie sam odebrać, nabył przekonania, iż napad na dwór w Górach niewątpliwie nastąpi. Był więc mocno niespokojny i czekał z utęsknieniem powrotu Antka Wiśniewskiego i Anielki, żeby się z nimi rozmówić i dowiedzieć się, czy i oni zamierzają w tym napadzie wziąć udział. Bo skoro poszli na owe, jak je nazywał Siergiej Bolesławowicz, „skopiszcze“ w lesie, to muszą wiedzieć o zamiarach Jasińskiego i jeżeli nie czynny udział w nich wziąć, to choć milcząco na nie się zgadzają. Tak mówiła logika, ale Stanisław w gruncie rzeczy nie wierzył, nie mógł wierzyć temu, ażeby w tak niecnym rabunku kochankowie chcieli uczestniczyć.

Tymczasem jednak zbroił się. Orczykiewicz i furman Jędrzej mieli nocować we dworze, wszystkie psy miały być spuszczone z łańcuchów, okiennice na głucho pozamykane, broń jaka była we dworze, nabita siekańcami, a stryjaszek Józef obiecywał całą noc czuwać przy drzwiach od werandy ogrodowej, które, jako szklane i nie opatrzone w okiennice, najłatwiejszy dawały przystęp do wnętrza.

— Już ty serdeńko nie troszczący się — mówił Stanisławowi, gdy ten wyraził obawę, że stryjaszek Józef takiem nocnem czuwaniem zmęczy się bardzo.

— Litwin, braciaszku — dodawał — twardym bywszy jako żelazo i czujnym jak żuraw. Bywało, ja nieraz całe noce w Ihumeńskim powiecie na bagnach siedzący, by o świcie cieciorkę upolować. Taj serce, ja tym zbójom pokażę, co to Litwin. Litwini to nie Koroniarze.

I śmiał się dobrodusznie i oglądał swoją dubeltówkę i przykładał ją do twarzy i mierzył z niej, przyczem brodata, Budrysowa twarz jego przybierała komicznie groźny wyraz.

Wśród tego wszystkiego Siergiej Bolesławowicz załatawszy jak mógł na kolanach swe podarte spodeńki, przyczesał swe płowe i rzadkie włosy na głowie i udał się do pokoju, zajmowanego przez panią Magdalenę Schmid. Dyskretnie zapukał do jej drzwi i gdy otrzymał zaproszenie do wejścia, wskoczył do środka w lansadach i kłaniając się i szastając, przyczem kości w jego chudej figurze niemiłosiernie skrzypiały, począł mówić:

— Madam, wy pozwólcie, coby ja ucałował wasze piękne rączki.

I szedł w lansadach do tych istotnie ładnych i pulchnych rączek.

Pani Schmid zmęczona dniem dzisiejszym, wzruszona głęboko zapisem nieboszczyka swego kochanka, znużona dyspozycyą obiadu, siedziała w swym fotelu przy oknie i mając na wydatnym brzuszku ułożone obie rączki, zdziwiła się niezmiernie pojawieniem się w jej pokoju koleżskiego asesora. Nie lubiła go, choć w swej gołębiej naturze nie była zdolną naprawdę kogoś nie lubić, ale nie podobał jej się ten czynownik petersburski, ze swą chudą, niezgrabną, wybujałą i na cieniutkich nogach wspartą postawą. Przytem to dziwaczne żądanie, by pozwoliła ucałować swe piękne rączki. Od czasu, gdy ten, którego kochała, umarł, nie myślała o swych pięknych rączkach, ani wogóle o swej powierzchowności, choć zachowała dużo wdzięku dojrzałej blondynki. Ale teraz nic ją to nie obchodziło. Ona za grzechy młodości myślała tylko o pokucie, pragnęła być taką samą Magdaleną pokutnicą, jak jej patronka.

Dlatego niezmiernie się zdziwiła, w głębi duszy nawet oburzyła na żądanie Siergieja, a na twarzy zarumieniła się jak panienka i coprędzej obie dłonie schowała pod fartuszek, jakby się lękała, żeby ten chudy, wysoki czynownik z Petersburga, nie zechciał gwałtem dobrać się do jej rączek.

— Da wy, madam — zawołał Siergiej — po czemu to zakrywacie wasze rączki? Ot, ja do was przyszedł z propozycyą, piękną, seryozną propozycyą.

Pani Schmid zmieszana ciągle i nie mogąca sobie zdać sprawy z tego, czego może od niej żądać koleżski asesor i z jaką propozycyą przyszedł, podniosła się z fotelu i ciągle kryjąc pod fartuszkiem pulchne rączki, na szastające ukłony Siergieja odpowiedziała niemodnym i przestarzałym nieco dygiem i poprosiła swego gościa, aby usiadł, wskazując na krzesło obok stołu.

Siergiej usiadł zamaszyście, przyczem w jego mocno sfatygowanych spodeńkach coś trzasło, czem jednak nie zrażony, tak począł mówić:

— Ja, madam, jak wam wiadomo koleżski asesor, czyn nie wysoki to prawda, nu, ale będzie wyższy. Ot co, ja wam powiem, prosto z mostu, jak gadał mój ojciec Bolesław Kazimirowicz. On byłby doszeł do wysokich czynów, ale cóż, towarzysz ministra gadał, da! da! Bolesław Kazimirowicz, tolko to bieda czto on Kazimirowicz! Tak i ze mną, żeby ja nie był Bolesławowicz, a ot jaki Iwanowicz, toby ja wysoko zaszeł.

Pani Schmid, przyzwyczajona do gadatliwości Siergieja, słuchała tej przemowy w milczeniu, ciekawa z jaką propozycyą przyszedł do niej. On siedział wyprostowany i uśmiechał się obleśnie i zabójcze spojrzenia ciskał na rumieniącą się ciągle panią Magdalenę.

Nakoniec oświadczył on w owym charakterystycznym, przez swe zepsucie, języku petersburskiego Polaka, że pani Schmid jest jeszcze młoda i piękna, że posiada wcale ładne „pridannoje“, co niby znaczyło posag, że zatem ma prawo do szczęścia, a to szczęście znaleść może tylko w małżeństwie.

Pani Schmid nie bardzo rozumiała mowę koleżskiego asesora, jednakże pojęła to, że on jej radzi wyjść za mąż. Zarumieniła się znowu i odrzekła z pewnym wyrazem zdziwienia:

— Jakto? Szanowny pan radzi mi wyjść za mąż?

— Nu... da... poczemu by nie?

— Chyba pan żartuje.

— Nie... jej Bohu, nie żartuję. Mówię ze wszystkiem seryozno.

— Ależ ja nigdy nie wyjdę za mąż.

I po chwili z melancholijnem westchnieniem dodała:

— Czas marzeń o mężu już dawno dla mnie minął.

Siergiej Bolesławowicz począł przeciw temu gorąco protestować, mówił że jest młodą i piękną, że wreszcie on ją prosi o rękę. To mówiąc przyklęknął na jedno kolano, przyczem rozległ się złowrogi trzask jego nieszczęsnych spodeńków, złożył ręce jak do modlitwy, żórawią szyję wyciągnął i głosem płaczliwym mówił:

— Da, madam, ja się chcę na was ożenić. Zawiozę was do Pitra i dopiero to Konon Iwanowicz zaduma się, jak zobaczy piękną moją żonkę. Nu, cóż madam, będziecie moją żonką?

Pani Schmid na te czułe i niespodziewane oświadczyny zbladła jak ściana; rzuciła z boku ukośne wejrzenie na fotografię nieboszczyka kochanka, stojącą na stole, poczem zerwała się na równe nogi i szepnęła:

— Otóż Pan Bóg mię karze za ciężkie moje grzechy!

A gdy Siergiej Bolesławowicz nie przestawał klęczeć, przyczem usiłował schwycić panią Schmid za rękę, ta zdobyła się, może pierwszy raz w życiu na energię i głosem surowym zawołała:

— Wstań pan! wstań natychmiast, bo inaczej zmusisz mię do tego, że wyjdę z mego pokoju.

Siergiej zmieszał się mocno, podniósł się ciężko z głuchym trzaskiem swych niefortunnych „niewypowiedzialności“ i patrzył na panią Schmid z wyrazem komicznego zdziwienia.

— Nu, madam, tak cóż? — zapytał.

— Nic.

— Jak nic?

— Nic.

— Nu... tak wy nie chcecie, żeby ja się na was ożenił?

— Na mnie ożenić się? mój panie, ja jestem grzeszną kobietą, to prawda, może nic nie wartą, ale brzydko jest ze strony pańskiej, że mi ubliżasz. Na mnie się ożenić!... Boże, jakże mię ciężko karzesz!

— Więc, madam, wy mi odkazujecie?

— Odkazuję.

— Czort weź!... a ja was tak polubił, duszno polubił!

— Proszę pana zostawić mię samą.

— Nu... cóż robić... wychodzę madam. ale wy podumajcie. U mnie czyn jest, koleżski asesor, w błoto twarzy u nie uderzysz, a moje naczalstwo, Konon Iwanowicz dawnoby mnie wyższy dał czyn, żeby ja nie był korzenny Polak. Podumajcie, madam,

a ja poczekam. Mnie urlop jeszcze nie wyszeł, ja poczekam. Czemu nie? poczekam.

— Niech pan nie czeka, bo z tego nic nie będzie.

— Nu... cóż robić. Nie wiedzie się waszemu bratu. Ot człowiek chciał mieć żonkę, a tu szabas! Nu ja odchodzę, ale wy madam podumajcie, pokornie was proszę, podumajcie.

— Nie będę dumała.

— Dajcie rączkę na pożegnanie.

To mówiąc, wyciągnął wielkie, obrośnięte i wilgotne łapy ku pani Schmid, ale ta szybko swe pulchne i białe rączyny schowała pod fartuszek, tak że biedny Siergiej „skonfuził sia", jak sam opowiadał później, i z miną rzadką wyszedł z pokoju surowej damy swego serca.

Zgryziony tem niepowodzeniem, nie chcąc z nikim się spotkać, poszedł w najciemniejszy kąt ogrodu, by ze swem zmartwieniem sam na sam pozostać.

— Ot, głupia baba! — mówił sobie — ona myśli co ja ją polubił, a ja tylko myślę o jej pieniądzach. Czort weź, dziesięć tysięcy całkowych! Byłoby za co w Pitrze pohulać. A tak co? bieda.

Siadł na kamiennej ławce pod posągiem płaczącej Nioby, z poobtłukiwanemi rękami i nosem i równie miał smutną minę, jak ta figura obdrapana i zielonemi smugami od deszczów i śniegów popstrzona. Obejrzał swe spodeńki, które w dwóch nowych miejscach przy klęczących oświadczynach trzasły, westchnął nad nimi żałośnie i nagle uderzył się w czoło:

— Nu, poczemuby nie? Baba brzydka i stara, ale ma diengi. Nu! już ja tego jej synka Ferdzia...

To mówiąc zrobił giest bicia, zerwał się i pobiegł do dworu.

XXII.

Mrok już zapadał i spływał na ziemię cichy wieczór letni, gdy Antek i Anielka powrócili do dworu z owej tajemniczej schadzki w lesie. Stanisław, który sobie wyobraził, że napad nastąpić musi koniecznie tej nocy, z niepokojem oczekiwał na ich przybycie i ledwie zobaczył zakochaną parę, zaraz do niej pobiegł.

— Zmiłuj się Antek — zawołał — groźne niebezpieczeństwo lada chwila może spaść nam na głowę, a ty z tym zbójem Jasińskim jakieś konszachty odbywasz.

Antek skrzywił się i spytał:

— Jakie niebezpieczeństwo?

— Napad zapowiedziany przez Jasińskiego.

— Śmiej się z tego. Żadnego napadu nie będzie i być nie może. Coś ci się uroiło w głowie i straszysz siebie i innych.

— Własnym uszom wierzyć muszę i dziwię się, że do schadzek urządzanych przez Jasińskiego należysz. Wszak to policyant.

— Jasiński może sobie być policyantem, ale jest też rewolucyonistą nie bandytą, jak tobie się zdaje.

Wmieszała się w tę rozmowę Anielka i rzekła:

— Niech pan będzie spokojny. Postanowiliśmy na schadzce, o której pan mówisz, utworzyć tu rzeczpospolitą.

— Z Jasińskim na czele?

— Z Jasińskim. Może nie na czele, ale w każdym razie z nim. Jest to dzielny człowiek, człowiek idei, nie żaden burżuj upasiony na krwi ludu.

I rozweselona jakaś, promieniejąca młodością i ożywieniem niezwykłem, zanuciła:

A sztandar jego jest czerwony!...

— I pani temu człowiekowi wierzysz? — spytał Stanisław.

— Wierzę... zresztą tu o wiarę nie idzie, tu idzie o czyny, a te są najlepszem świadectwem i najmocniejszym dowodem.

— Słowo daję, chyba państwo oszaleliście. Cóż to za rzeczpospolita zamierzacie stworzyć? Będzie to jakieś kolosalne głupstwo.

— Wszystko na świecie może być głupstwem, a jednocześnie mądrą rzeczą, zależy to od punktu widzenia — odrzekł sentencyonalnie Antek.

— Mniejsza z tem — zauważył na to Stanisław — róbcie sobie co chcecie, twórzcie rzeczpospolitą, kiedy wam się tak podoba, ale przedewszystkiem powinniście dbać o całość i życie osób, zamieszkałych w tym domu.

— Co znaczą osoby wobec idei! — zawołała Anielka.

— Zapewne, że nic, ale tu mieszka także mama pani.

— Nic jej nie będzie.

— A jak Jasiński dokona napadu i odbierze mamie pani te dziesięć tysięcy?

— Nikt nikomu nic odbierać nie będzie — odezwał się Antek — bezpieczeństwo osób zapewnione jest w naszej rzeczypospolitej.

— Zaręczasz mi, że napadu nie będzie?

— Hm... taż za nic ręczyć nie można. W każdej idei, w każdym czynie zbiorowym mogą się znaleść ludzie źli, podli i samolubni. Zaręczyć więc nie można, czy jacyś bandyci wiedząc, że w tym domu są znaczne pieniądze, nie dokonają napadu, ale za to ręczyć mogę, że Jasiński niema z tem nic wspólnego. Jeżeli napad będzie, to dokonają go zwykli



Robiąc do niej słodkie oczy, począł prawić komplementy.

rabusie i złodzieje, których jeden strzał twej dubeltówki spłoszy.

— Ha! kiedy tak mówisz...

— Tak mówię.

— Zresztą, szczerze mówiąc, co mię to wszystko obchodzi — zakonkludował Stanisław — znudzony tem jestem śmiertelnie. Napadną, zabiją mnie, mniejsza o to, wszak śmierć wcześniej czy później przyjść musi.

— Pan ciągle myślisz tylko o śmierci — zawołała Anielka — a tu przed panem otwiera się wielkie pole donośnego i na wieki pamiętnego czynu.

— Przypuśćmy, że tak, ale czy ten czyn uchroni mię od śmierci? Czy wobec niej, wobec tego nieuniknionego końca, warto zdobywać się na jakiś czyn? Wszystko jest głupstwem i marnością!

Usiadł zniechęcony, bo po chwilowem natężeniu nerwów, nastąpiło zwykłe u niego obezwładnienie. Przyszła fala pessymizmu i upadku na duchu. Napadną czy nie napadną, zabiją go czy nie zabiją, to wszystko jedno. Nie warto się niczem zajmować, o niczem myśleć, bo śmierć, straszna śmierć, zatopienie się w nicości, zawsze nastąpić musi.

Antek usiadł obok Stanisława i rzekł:

— Sflaczałeś widzę, kuzynku. Ki dyabli! uszy do góry! Bo, uważasz, my tobie w naszej rzeczypospolitej wyznaczyliśmy bardzo poważne stanowisko.

— W jakiej rzeczypospolitej?

— W naszej. Jutro ją w miasteczku ogłosimy. Wszystko już gotowe.

— Bój się Boga Antek, ty chyba kpisz?

— Nie! mówię zupełnie poważnie.

— Jakże to można o takich rzeczach mówić poważnie? Toć przecie żarty. Rzeczpospolitą chcą tworzyć w Górach! Oszaleliście chyba. Zapominacie, że w kraju jest rząd, władze, wojsko. Czyż dadzą wam jakąś rzeczpospolitą tworzyć?

— Niema rządu, władz i wojska. Wszystko to upadło. Koleje żelazne stanęły, telegrafy popsute, wszystkie organa rządowe są sparaliżowane. My mamy siłę w ręku a nie rząd, a co nam się opierać będzie, zdruzgoczemy, zdeptamy, zniszczymy.

Powstał, w jego czarnych oczach zajaśniał blask ognistego zapału, ogromną pałką, z którą się ani na chwilę nie rozstawał, począł zawzięcie wywijać, aż zawadził nią o wazonik z geranium, stojący na oknie i stłukł go z głośnym trzaskiem.

To go opamiętało, spojrzał na kwiat walający się wśród usypanej ziemi i skorup wazonika i dodał:

— Tak zniszczymy burżujski porzadek rzeczy, tak on runie, jak ta doniczka.

Panna Aniela przyklękła i poczęła zbierań ziemię i podnosić geranium i rzekła:

— Nie trzeba wywijać tą pałką. Szkoda mi kwiatka, tak go pielęgnowałam. Po co niszczyć niewinne życie?

Antek zaśmiał się szydersko:

— Kwiatki, ptaszki, niewinne życie! tfu! do pioruna, z tymi sentymentami zapasionego burżujstwa. Niewinne życie. Zapominasz pani, że w tej burzy, jaką rozdmuchujemy, tysiące najniewinniejszych istot mogą zginąć. Bo i cóż znaczy czyjeś życie wobec idei? Wszelkie idee, by żyć, karmić się krwią muszą! Kiedyż u kaduka pozbędzie się pani tych sentymentów burżujskich?

Ale Anielka nic na to nie odrzekła, tylko dalej w milczeniu i z wielką starannością zbierała ziemię i otulała nią biedny kwiatek, na co z pogardliwą miną i ze skrzywieniem zjadliwem, mającem uśmiech oznaczać, spoglądał Antek.

Tymczasem Stanisław pytał:

— Antek, więc naprawdę myślicie o ogłoszeniu rzeczypospolitej?

— Naprawdę.

— Co to będzie za rzeczpospolita?

— Hm! widzisz... dużoby o tem mówić trzeba, a mnie się spać chce i zmęczony jestem.

Anielka podniosła się z kolan i śmiejąc się srebrzystym śmiechem, zapytała:

— Kiedyż się pan, panie Antek, pozbędziesz tych burżujskich nawyknień, sypiania razem z kurami i jakiegoś znużenia, nieznanego wcale dzieciom ludu?

— Pani się mylisz, panno Anielciu, to nie są nawyknienia burżujskie, to są prawa natury, a tych przerobić nikt nie jest w stanie. Natura jest naszą wszechwładną panią.

— Dobrze... wiem o tem... ale tymczasem opowiedz panu Stanisławowi, jaką zamierzamy stworzyć rzeczpospolitą. Gdy się dowie, nie wątpię, że żywy w naszych pracach i zamysłach weźmie udział.

— A ja bardzo wątpię — odrzekł Stanisław — w niczem nie myślę brać udziału. I jeżeli pytam o wasze zamysły, to nie przez ciekawość, ale dlatego, że kocham was oboje i chciałbym was uchronić od nieszczęścia.

Nim jednak Stanisław mógł na tę uwagę odpowiedzieć, otworzyły się drzwi z trzaskiem i ukazał się w nich stryjaszek Józef, wywołując widokiem swej osoby powszechne zdziwienie i śmiech. Miał bowiem naprzód na swej głowie jakąś czapkę dziwaczną, sięgającą może czasów Giedymina, wysoką ze zrudziałego futra niedźwiedziego sporządzoną, z klapkami na uszy, rozstrzępioną, ogromną, nadającą jego Budrysowskiej fizyognomii jakiś dziki, groźny a zarazem śmieszny wyraz wobec tego pokoju nowoczesnego i nowoczesnych osób.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowy kościółek na Huculszczyźnie.

W uroczym zakątku Beskidu wschodniego, w licznie uczęszczanem miejscu klimatycznem, w Tata-



Nowy kościółek na Huculszczyźnie: Widok kościółka, wzniesionego w Tatarowie koło Jaremcza.

rowie nad Prutem, odbyło się niedawno poświęcenie nowo wybudowanego kościółka. Licznie przebywający tam letnicy oraz rzym. kat. ludność Tatarowa dotkliwie odczuwała brak domu Bożego. To też za inicyatywą p. Reginy Mikolaschowej i ks. dr. Jougana zawiązał się komitet, który dzięki pracy i zapobiegliwości tychże dwojga ludzi w niedługim czasie — bo w przeciągu roku — zebrał fundusze i zaczętą z wiosną budowę doprowadził do skutku. Projekt i budowę wykonał bezinteresownie miejscowy budowniczy p. Łazarski, a grunt pod budowę ofiarował p. Pohorecki, adwokat z Tarnopola.

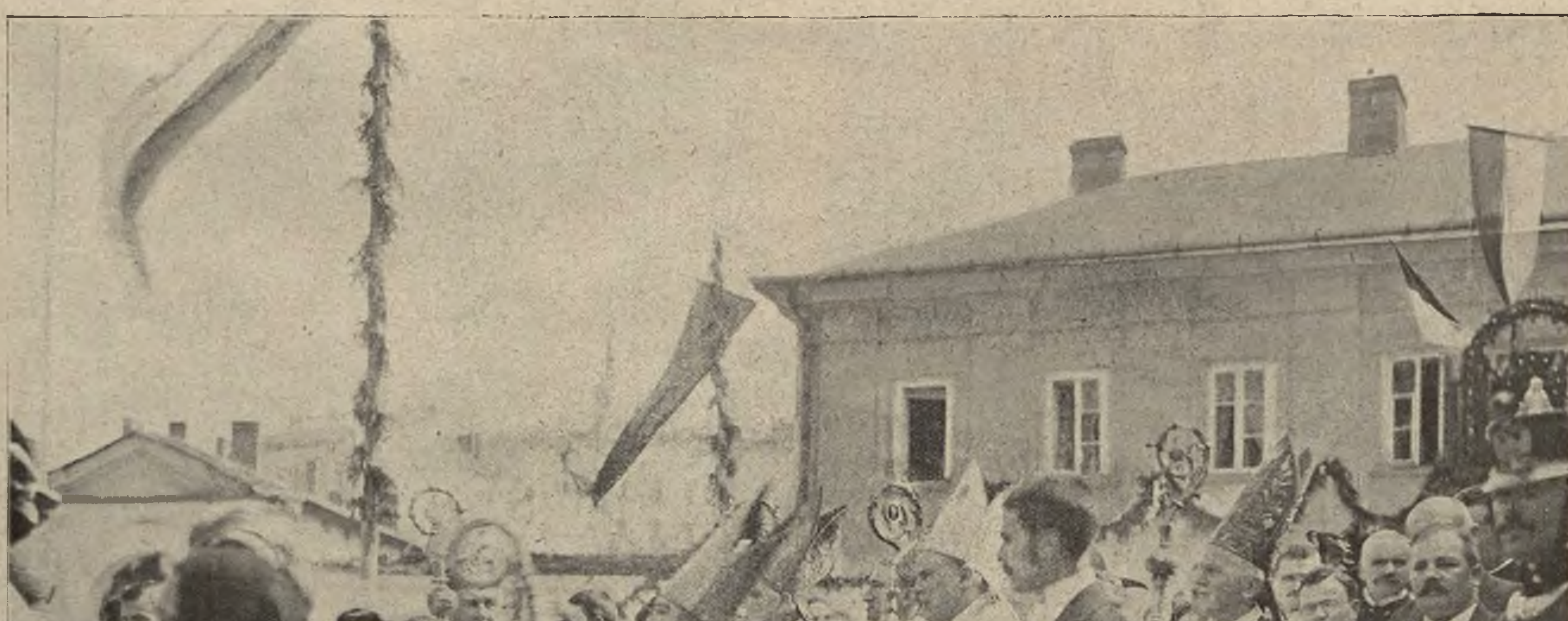
Na uroczystość poświęcenia przybyło liczne grono letników z Jaremcza, Mikuliczyna i Worochty, a z tej ostatniej kolonia wakacyjna dzieci.



Nowy kościółek na Huculszczyźnie: Uroczyste poświęcenie nowego kościółka w Tatarowie.

Aktu poświęcenia po pięknej przemowie dokonał ks. dr. Jougan przy sprzyjającej pogodzie, poczem odbyło się w gościnnym domu pp. Mikolaschów przyjęcie dla duchowieństwa, zaproszonych gości i kolonii wakacyjnej.

Budowa kościółka, oparta na miejscowych i zakopiańskich motywach, wykonana w drzewie i kryta szarą dachówką, stanowi miły dla oka, dostrojony do chat huculskich, obrazek. Skromne wnętrze zdobi piękny, z naturalnego drzewa ołtarz, wykonany w zakopiańskim stylu w warsztacie art. stolarskim Filipa



Drugi kongres maryański w Przemyślu: Księża arcybiskupi i biskupi w pochodzie.



Drugi kongres maryański w Przemyślu: Pochód z cudowną statuą Matki Boskiej. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

Jura w Sokalu. Rzeźby na mensie tworzą stylizowany dziewięciornik górski, w tych stronach rozpowszechniony bodziak.

Drugi kongres maryański w Przemyślu.

Siedm lat minęło od chwili, gdy po raz pierwszy zebrał się na ziemiach polskich kongres maryański, którym uczczono pięćdziesięciolecie dogmatu o Niepokalanem Poczęciu.

Uchwały kongresu lwowskiego i gorące apele mowców przebrzmiały prawie bez echa, nie zapewniły ruchowi katolickiemu stanowczego zwycięstwa we wszystkich kierunkach publicznej pracy. Centralna organizacya katolików polskich nie istnieje wcale, praca społeczna wśród ludu robotniczego i włościańskiego posuwa się naprzód niezmiernie powolnym krokiem, natrafiając ciągle na najrozmaitsze przeszkody, nie posiadając jednolitego planu i nie rozporządzając odpowiednimi środkami materyalnymi, a prasa katolicka walczy z tysiącami trudności.

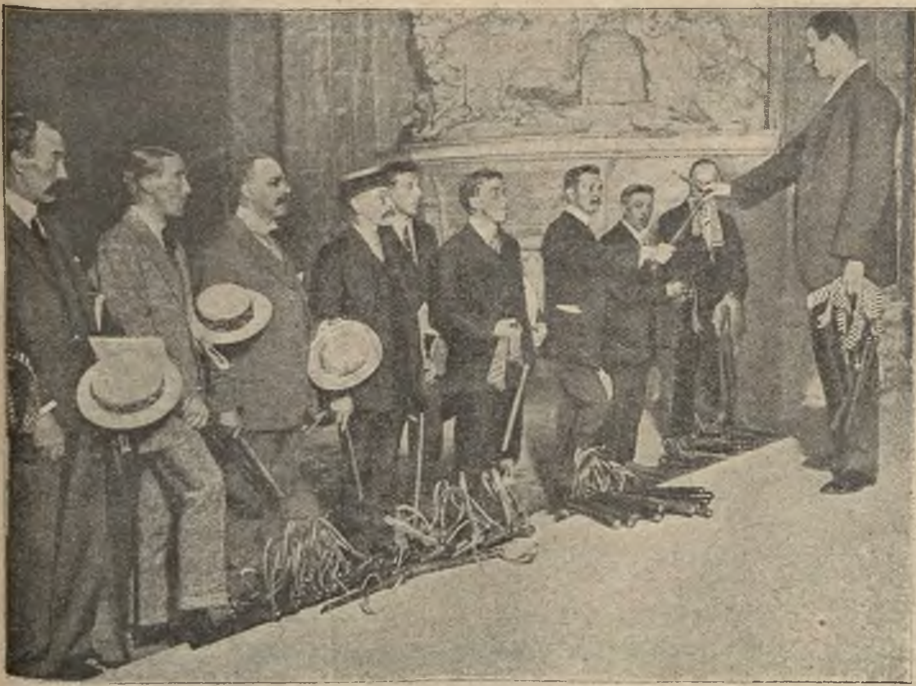


Zgon znakomitego malarza: Józef Israëls, głośny malarz holenderski.

Tematów więc do obrad drugi kongres maryański, urządzony w Przemyślu dzięki usilnym zabiegom księdza biskupa Pelczara, miał aż nadto, rezultaty ich mogą być bardzo doniosłe. Cześć dla Królowej Korony Polskiej, łączy Polaków niezmiernie ściśle, jest poniekąd naszym narodowym obowiązkiem, tradycyą i chlubą. Po smutnych zajściach w Częstochowie wzmożenie czci, jaką całe społeczeństwo polskie otacza Matkę Boską, będzie zadośćuczynieniem za wszystkie zniewagi i bluźnierstwa. Biskupi, kapłani i lud polski zaświadczą uroczyście, że naród polski stoi i nadal stać będzie zawsze przy sztandarach kato-



Drugi kongres maryański w Przemyślu: Procesya opuszczająca kościół serca Jezusowego. (Fot. M. Todt, Przemyśl).



Echa strajku angielskiego: Rozdawanie harapów i pasków do wiązania między policystów w Londynie.



Drugi kongres maryański w Przemyślu: Marszałek kraju hr. St. Badeni, uczestniczący w kongresie.

lickich i przysięgi, złożonej Królowej z Jasnej Góry, nie złamie.

Pod temi hasłami zebrał się tegoroczny kongres w Przemyślu, trwający trzy dni. Zjazd uczestników był nadzwyczaj wielki, samych zamiejscowych liczono ponad trzy tysiące, a reprezentowali wszystkie warstwy naszego społeczeństwa i wszystkie zawody. Ponieważ sala Sokoła okazała się za szczupła dla plenarnych posiedzeń, przeniesiono je do ujeżdżalni wojskowej, przybranej zewnątrz i wewnątrz w zieleń i flagi.

W pierwszem plenarnem posiedzeniu, które odbyło się w sobotę o godzinie 4·30 popołudniu, wzięły udział tłumy publiczności, przedstawiciele Sodalicyi i towarzystw poznańskich i warszawskich i stowarzyszeń robotniczych z Westfalii, wszyscy galicyjscy biskupi, wielu dostojników cywilnych i wojskowych, między innymi: marszałek hr. Badeni, namiestnikowa Bobrzyńska, ks. Witold Czartoryski, hr. Zdzisław Tarnowski, Stanisław hr. Tarnowski i wielu innych.

Na powitanie odśpiewał chór z towarzyszeniem muzyki wojskowej mickiewiczowski „Hymn na dzień Zwiastowania" z muzyką Surzyńkiego, poczem zabrał głos ks. biskup Pelczar, jako gospodarz kongresu, uzasadniając, dlaczego właśnie Przemyśl wybrano jako miejsce obrad.

Zyczenie mowcy, wyrażone przed laty na kongresie lwowskim, aby następny odbył się w Warszawie lub Poznaniu niestety, dziś spełnione być nie może, a nam trzeba dla serc i ducha takiego pokrzepienia.

Następnie w dłuższem, a dla kongresu programowem przemówieniu przedstawił cele i zadania obecnego zjazdu, na zakończenie zaś przedłożył zgromadzonym szereg rezolucyi, które jednogłośnie uchwalono, wyrażając uległość dla stolicy Apostolskiej i potępiając zamachy przeciw niej skierowane, szczególniej niedawne wystąpienie burmistrza Nathana. Uznano, że konieczną jest dla niej swoboda działania, a pozbawienie jej praw i krępowanie w czemkolwiek jest bezprawne.

Przystąpiono do wyboru prezydyum.

Honorowym prezesem kongresu obrano hr. Stanisława Tarnowskiego, prezesem kierującym ks. Władysława Sapiehę, wiceprezesami pp. Thulliego, La-



Kradzież słynnego obrazu: Portret „Mony Lizy", słynne arcydzieło Leonarda da Vinci.



Echa strajku angielskiego: Wojsko eskortujące oddział policyi w automobilu

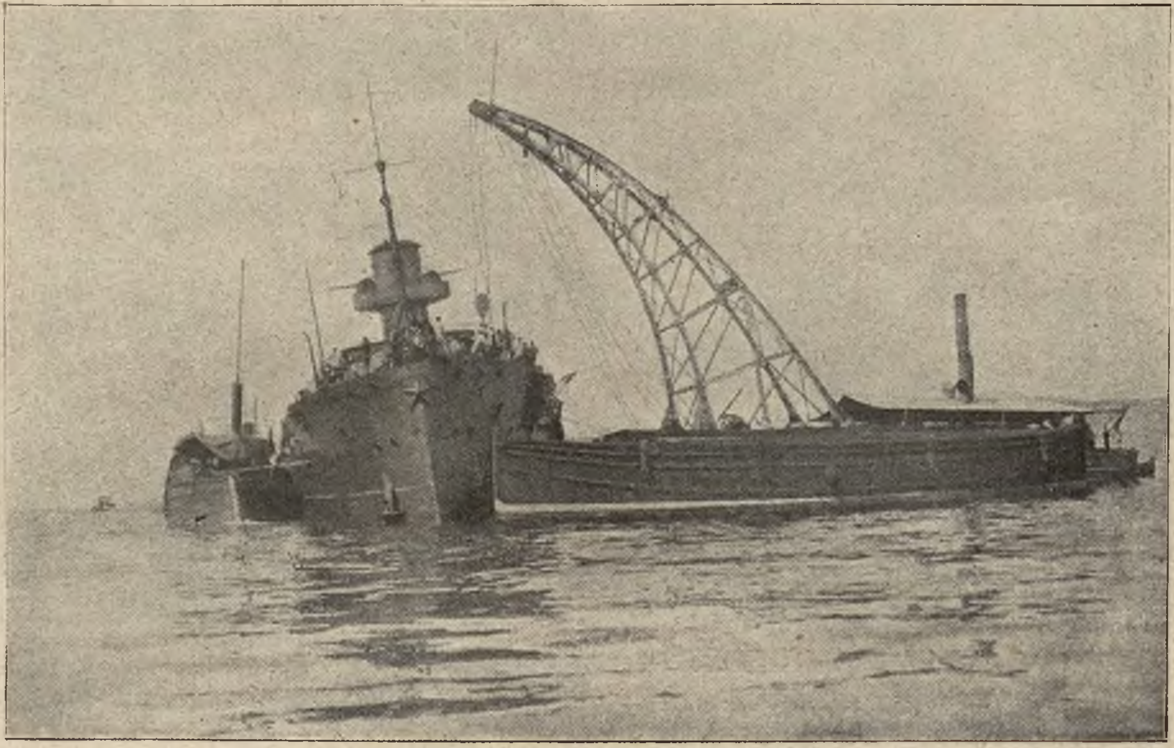
skowskiego, Jędrzejowicza, Gorajskiego, ks. Godlewskiego, namiestnikową Bobrzyńską, księżnę Czartoryską, ks. Kotulę, dr. Lubeckiego, ks. Szmyda, ks. Rostworowskiego, ks. Tomaka, Zuraka i Starowiejskiego.

Po wyborze zabrał głos hr. Stanisław Tarnowski, dziękując za wybór imieniem całego prezydyum, poczem powitał zebranych marszałek krajowy hr. Stanisław Badeni, stwierdzając, że kongresy i zjazdy maryańskie są świetną oznaką łączności i solidarności narodowej, dodają sił i otuchy do dalszej pracy.

Ponadto przemawiał prezydent miasta Przemyśla Doliński, dziękując za to, że właśnie Przemyśl wybrano na miejsce zjazdu, profesor Czerkawski, imieniem Uniwersytetu Jagiellońskiego, ks. Godlewski, jako reprezentant Warszawy, przedstawiciel Kółek rolniczych, hr. Stanisław Henryk Badeni, dr. Lubecki, reprezentant robotników westfalskich i ks. prałat Skarzyński.

Niedzielę i poniedziałek zajęły wspólne obrady i referaty, nabożeństwa i procesya, która wypadła pod każdym względem wspaniale, zwłaszcza że dopisała i pogoda. W poniedziałek nastąpiło w sali „Sokoła" o godzinie 5 popołudniu odczytanie i uchwalenie rezolucyi i uroczyste zakończenie Kongresu w katedrze łacińskiej.

W czasie całego zjazdu panował nader podniosły nastrój nie zamącony żadnym dyssonansem.



Niedomagania marynarki włoskiej: Ratowanie zatopionego częściowo w pobliżu Neapolu pancernego krążownika „San Giorgio".

Zgon znakomitego malarza.

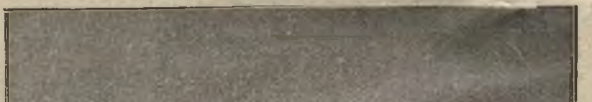
Zmarł niedawno w Hadze jeden z najznakomitszych artystów malarzy XIX wieku, Józef Israëls, twórca wielu dzieł niepospolitej wartości, poszukiwanych i drogo płaconych na targach sztuki.

Israëls, syn przełożonego żydowskiej gminy wyznaniowej w Meppel w Holandyi, kształcił się przez czas jakiś w Paryżu u słynnego Picota, a choć w tym czasie nie stworzył był jeszcze żadnego cenniejszego dzieła, niemniej jednak zdradzał w swych obrazach niepospolity talent. Z Paryża przesiedlił się do Amsterdamu, gdzie powstał jego pierwszy, bardzo głośny obraz historyczny, p. t. „List Oldenbarneweldta", nabyty odeń za cenę 800 guldenów przez tamtejsze towarzystwo sztuki.

Przełomowym w twórczości Israëlsa był r. 1855, kiedy artysta z powodu choroby udał się do opuszczonej wsi rybackiej, dziś znanej miejscowości kąpielowej Zandwoort. Tutaj otworzyły się przed nim nowe horyzonty. Israëls przestał malować „sceny historyczne". Powstał natomiast słynny jego obraz „Po burzy", na którym dziewczyna wygląda powrotu ojca czy kochanka. W obrazie tym zaznaczył się zwrot artysty ku Rembrandtowi.

Sława Israëlsa poczęła rosnąć szybko. Jego obrazy cieszyły się ogromnem wzięciem. Sceny z życia rybaków i krajobrazy morskie, dzieła istotnie ogromnej wartości, znajdowały zawsze chętnych nabywców, choć cena ich dochodziła w ostatnich czasach do 100 i 200 tysięcy koron.

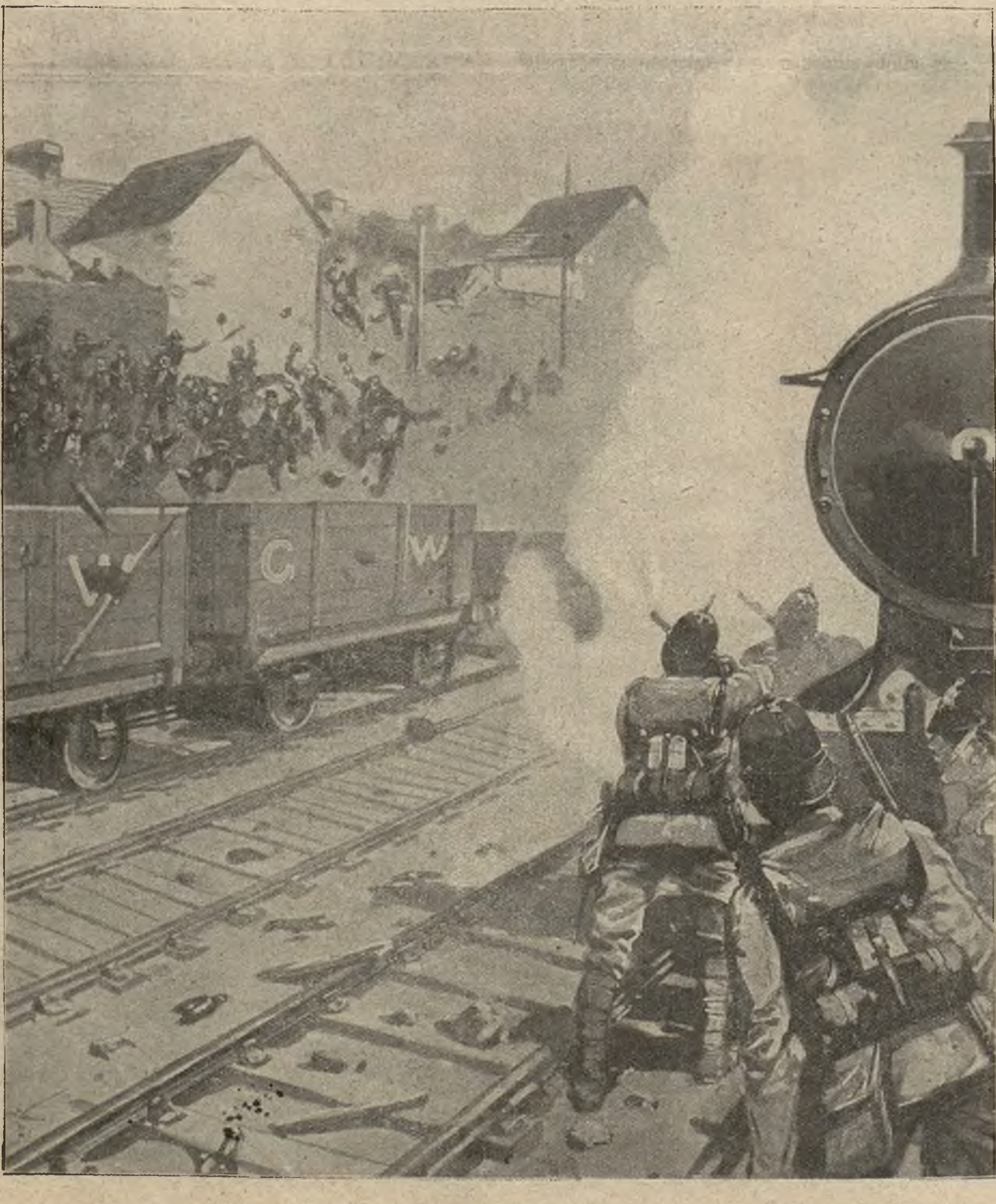
Do ostatnich lat zachował Israëls krzepkość ciała i umysłu. Niskiego wzrostu, o twarzy brzydkiej, wywierał jednak silne wrażenie charakterystycznymi



Zgon nestora kupców krakowskich: Ś. p. Henryk Schwarz.

rysami twarzy, znamionującymi niepospolitą indywidualność. Wymowny i rozmowny, lubił towarzystwo i wesołe otoczenie, ożywiał się w niem i dyskutował z zajęciem.

Zmarł w 87 roku życia.



Echa strajku angielskiego: Krwawe zajście między zrewoltowanymi strajkującymi a wojskiem.

KAMIL PERT

—

Dramat w domu obłąkanych

6 Powieść.

On odparł suchym tonem:

— O! ty rozumiesz mnie dobrze! Powtarzam, nie możesz tu pozostać! Wobec ostatnich wypadków, zacznie się teraz napływ ludzi obcych różnego gatunku... Zwali się na mnie roboty wyżej uszów, które mi spuchną od rozmaitych badań i wypytywań... przyczem nie będę cię mógł upilnować, od czego nieraz krew zagotuje się w moich żyłach... Ja siebie znam! Przy mojej pracy, obawiając się wciąż o ciebie, gotów jestem wściec się, albo oszaleć. Więc pojedziesz, a ja pozostanę spokojny, bo cię umieszczę u ludzi dobrze mi znanych, którzy przyjmą cię w swoim domu jak córkę...

Ludwika zapytała z niepokojem:

— Jacy to ludzie?... Czy ja ich znam?... Gdzie mieszkają?

Sempuis uśmiechnął się prawie złośliwie.

— Co ci po ich nazwisku? Przypuść, że zowią się tak lub owak... Co zaś do miejsca, w którem mieszkają, zobaczysz je i poznasz, gdy się w niem znajdziesz.

Nagła myśl, jak błyskawica, przeleciała przez mózg Ludwiki: „Jalek! Rozdziela mnie z nim, nie ujrzę go więcej!“ Trzęsąc się cała od wzruszenia, zapytała znowu:

— Ale mój pobyt tam długi chyba nie będzie? Wszakże wkrótce tu powrócę?

Mikołaj, nie domyślając się ukrytej przyczyny pomieszania młodej kobiety, spojrzał na nią z widocznem rozczuleniem, uczuł się bowiem wzruszony tonem, jakim wymówiła ostatnie wyrazy.

— Kochasz więc trochę swego męża? — rzekł serdecznie. I pochwyciwszy leżącą na stole drobną rączkę Ludwiki uścisnął ją serdecznie w swojej grubej, zarobionej dłoni. Ona pochyliła głowę, ukrywając nerwowe rozdrażnienie i łzy cisnące się do oczu.

— Niezawodnie — szepnęła cicho.

W nadziei, że zdoła nakłonić męża do niewyprawiania jej z domu, zwróciła nań niespokojne, mgłą wilgotną przesłonione źrenice i zaczęła go błagać:

— Proszę bardzo, nie wysyłaj mnie... zatrzymaj przy sobie! Ja się tak boję wszystkiego, czego nie znam. Nie chcę mieszkać u ludzi obcych.

Wypuścił rękę Ludwiki z dłoni i — znowu nadąsany — rzekł stanowczym tonem:

— Moje dziecko, rzecz postanowiona! Powiedziałem ci przyczyny, które mnie do wysłania cię skłaniają. Pojedziesz z Maurycym Berthaut, który jutro rano odwiezie cię do moich przyjaciół.

Ludwika po raz pierwszy w życiu odpowiedziała mu szorstko, z nieznanym dotąd Mikołajowi uporem.

— Z tym człowiekiem?... Nigdy!

Mąż spojrzał na nią zdziwiony.

— Dlaczego? — zapytał:

Ona wybuchnęła:

— Jesteś podejrzliwy i zazdrosny, a nie widzisz, w jaki sposób ten człowiek mną się zajmuje!

Zaledwie wyrzekła powyższe słowa, już ich pożałowała, widząc jak silne i straszne wywarły wrażenie.

Twarz Mikołaja oblała się ponsem, a oczy, zaszłe krwią, wybiegły na wierzch i przeszywały ją groźnem spojrzeniem. Dygocący cały od złości, podniósł się na pół z krzesła, uderzył obu zaciśniętemi pięściami w stół i pochylony naprzód, podobny był nie do człowieka, lecz raczej do kamiennego potwora, jakimi średniowieczni budowniczowie zdobili wieżyce świątyń, wznoszonych w stylu gotyckim.

— Mówisz? — wybełkotał zdławionym głosem. — Mówisz, że Berthaut umizga się do ciebie?

Przejęta trwogą Ludwika usunęła się nieco w tył wraz z krzesełkiem i szepnęła:

— Nie gniewaj się... może przesadziłam...

Mikołaj upadł na krzesło, przesunął ręką po spoconem czole i już trochę spokojniej wykrztusił:

— Kobiety, gdy nie wiedzą, co mają powiedzieć, plotą nieraz bzdury. Otóż powiedz, czy żartowałaś, czy też w istocie Berthaut nie okazywał ci należnego szacunku?

Spostrzegłszy, że szczerość nie przyniosła jej najmniejszej korzyści, zadowoliła się wymijającą odpowiedzią.

— Nie ubliżył mi nigdy... więc może tylko mi się zdawało, że się zaleca do mnie... Pomimo to jednakże, proszę cię, nie wysyłaj go ze mną w drogę...

Sempuis machnął ręką z widoczną niechęcią.

— Dobrze!... Zobaczymy! — wybąknął przez zaciśnięte zęby.

Poczem zapadł znowu w głębokie zadumanie, gdy równocześnie jego młoda żona siedziała nieruchoma i milcząca, oczekując z niepokojem na rezultat ponurych rozmyślań zazdrosnego męża. Gdy nareszcie po niejakimś czasie podniósł głowę, zauważyła — nie bez pewnej ulgi w swojem cichem udręczeniu — że całkiem z gniewu ochłonął. Przemówił do niej z niezwykłą słodyczą, jakby snuł w dalszym ciągu myśl, ukrywaną od dość dawna w sobie:

— Bo widzisz, moja mała, ja cię bardzo kocham! — mówił, wpatrując się z miłością we wdzięczną twarzyczkę żony. — I dlatego, widzisz, postanowiłem wytworzyć odmianę w naszem życiu. Bądź jeszcze niezbyt długo cierpliwą, a zobaczysz, że wkrótce uczynię cię zupełnie szczęśliwą. Tu mam zawiele kłopotów na głowie, zawiele zajęć, więc zbyt często pozostawiam cię osamotnioną i męczę się tem strasznie, zwłaszcza że gdy przychodzę do ciebie, sprawiam ci często mojem usposobieniem niemałą przykrość... Zamierzam zrzec się mojej posady, ma się rozumieć nie natychmiast, bo nie mogę przecież opuścić tych biedaków w chwili, gdy są pogrążeni w tak dokuczliwych tarapatach, lecz zaledwie cała nieznośna gmatwanina się wyjaśni a zakład powróci do normalnego stanu, wnet pożegnam się z nimi i odejdę. Wybierzemy sobie do zamieszkania jaki miły zakątek w południowej Francyi... a może w Algierze, albo jeszcze gdzieś dalej.

Wyraz błogiego upojenia zabłysł mu w oczach na myśl o rozkosznem nowem życiu, upragnionem od dawna, a w ciągu którego — jak mniemał — będzie mógł spędzać dnie całe przy ukochanej Ludwice. Następnie, jakby po wysiłku woli, aby usunąć z wyobraźni obraz tak ponętnego istnienia, nie oającego się rychło urzeczywistnić, ciągnął dalej już nieco chłodniejszym tonem:

— Och, naturalnie! środki nasze są skromne, lecz przekonasz się, jak umiem niewielkim funduszem stworzyć dostatek i wygodę. Będziesz panią, a ja zadowolnię nieraz niejedną twoją fantazyę.

Powstał, zbliżył się do Ludwiki, objął jej kibić ramieniem i podniósł ją z krzesełka.

— Czy mnie słuchasz? — zapytał, milczeniem jej zniecierpliwiony.

Ona odparła szybko:

— Ależ tak... słucham!

— Widzę jednakże, że nie wszystko, co mówię, przypada ci do smaku.

Usunęła nieco na bok twarzyczkę, którą mąż do ust swoich przybliżał.

— Co chcesz? Nie wiem jeszcze... nie wiem — wyjąkała ledwie, udręczona myślą o ukrywanej miłości, którą niespodziane zamiary Mikołaja obracały w niwecz.

Nie bacząc na jej widoczną obojętność, Mikołaj ucałował Ludwikę gorąco.

— Zobaczysz, najdroższa, jak ja cię szczęśliwą uczynię! Przekonasz się nareszcie, że twój stary mąż wart więcej od wielu... wielu młodych!

To mówiąc, roześmiał się głośno i tuląc żonę do piersi, pociągnął ją do drugiego pokoju, gdzie dość długo jeszcze wygłaszał szczegółowe informacye, odnoszące się do jej wyjazdu, który nieodwołalnie miał nastąpić nazajutrz.

Ludwikę zaś zajmowała myśl jedyna: znaleść sposób, za pomocą którego mogłaby zawiadomić Juliusza Varin o wygnaniu, na jakie skazał ją mąż. W chwili obecnej tragiczny zgon doktora zakładu i nieszczęście pani Manescault nie obchodziły jej wcale. Mniej niż kiedykolwiek gotową była uniewinnić żonę doktora, przez odważne i szczere zeznanie, któreby skompromitowało ją samą. Los zatem biednej Julii spoczywał już bezwzględnie w ręku byłego ajenta prefektury paryskiej, dziś komisarza policyi Villeneuve, znanego nam dobrze pana Guillaume.

ROZDZIAŁ V.

W poszukiwaniu nowego tropu.

Guillaume nie zasypiał sprawy. Nazajutrz rano o wczesnej godzinie, wysoki i korpulentny jegomość, o rudych włosach i rudej brodzie, wyglądający na Anglika, o czem zdawał się świadczyć nawet lekki odcień albiońskiego akcentu, zjawił się w zakładzie, prosząc o zaanonsowanie jego przybycia pani Manescault.

Lokaj, niosący jego bilet wizytowy, wyczytał na nim:

Edward B. P. Williams
detektyw.

— A! a! — pomyślał — pani nasza widocznie bronić się zamierza.

Ucieszył się myślą, że będzie miał co opowiadać w kuchni całemu gronu służby zakładowej.

Julia Manescault, która prawdopodobnie oczekiwała gościa, kazała poprosić cudzoziemca na piętro. Zaledwie wszedł do pracowni nieboszczyka, podwoje gabinetu zamknęły się za nim natychmiast.

Chociaż Guillaume uprzedził, że przyjdzie przebrany i ucharakteryzowany, Julia, wobec zupełnie sobie nieznanej fizyognomii i postaci człowieka przed nią stojącego, uczuła się zaniepokojoną, wątpiła bowiem, żali ma do czynienia z tym, który zapowiedział swoje przybycie.

— Czy to pan? — szepnęła z widocznem wahaniem w głosie.

Komisarz policyi uśmiechnął się pogodnie, zadowolony z odniesionego sukcesu.

— Jestem wcale udatnie ucharakteryzowany, nieprawdaż?

Poczem jednak, odzyskując w jednej chwili zwykłą powagę, dodał:

— To było konieczne! Chcę tu spełnić zadanie, nie mające nic wspólnego z mojemi obecnemi czynnościami urzędowemi.

Powiódł wzrokiem wokoło po całym pokoju.

— Mam nadzieję — rzekł — że tu nic nie poruszono od wczoraj?

— Po wyjeździe sądu nikt do pracowni nie wchodził. Czyniąc zadość pańskiemu poleceniu, zaledwie ci panowie opuścili zakład, wyjęłam klucz z zamku... Lecz co pan spodziewasz się tu znaleść?

Guillaume nie odpowiedział w pierwszej chwili, tylko nieznacznie potrząsnął ramionami, następnie jednak, zastanowiwszy się, że młoda kobieta może mu w licznych poszukiwaniach okazać się potrzebną, rzekł do niej tonem, pełnym szczerej życzliwości:

— Chciej pani zrozumieć, że wśród ciemności, jakie nas otaczają, światełkiem, które powinno nam wskazać drogę dalszych badań, może być tylko ślad przyczyny, która wywołała zbrodnię. Przedewszystkiem należy sobie postawić pytanie, d l a c z e g o doktor został zamordowany, zanim zdołamy przejść do drugiego pytania: k t o go zamordował? Wobec zupełnej nieświadomości naszej co do osoby mordercy, żeby go ująć, nie trzeba gonić za nim na oślep i naprózno, bo przecież nie pozostawił po sobie żadnych śladów... lecz wypada koniecznie zbadać życie doktora Manescault, oraz jego stosunki z tymi, którzy go otaczali i wytworzyć sobie jasne pojęcie, kto mógł pragnąć jego śmierci, aby z niej odnieść korzyść!

Julia niechętnie poruszyła głową i zadrżała mimowoli.

— Wszakże, niestety, ta metoda badań, doprowadziła pana wczoraj do przekonania, że ja i mój brat jesteśmy winowajcami?

Były ajent, nie zmieszany wcale rozsądną uwagą, uśmiechnął się dobrodusznie i odparł natychmiast:

— Co pani chce? Wnioskowanie moje posiadało cechę zupełnie logiczną. Było nawet bezwzględnie wskazane i zmuszało w pierwszej chwili zwrócić śledztwo w tym kierunku. Szkoda jedynie, że mój przełożony zbyt szybko i bez głębszego zastanowienia się wziął proste domniemania za fakty już stwierdzone i nie ulegające żadnej wątpliwości.

Tak rozmawiając, Guillaume bardzo bacznie przeglądał wszystko w całym pokoju, podnosząc przedmioty znajdujące się na konsolach, stołach i kominku, czytając każdy najdrobniejszy papierek, który mu wpadł pod rękę. Poczem usiadł i wypróżnił cztery, nie zamykające się na klucz szuflady w biurku. Znalazł w nich tylko: przybory do pisania, cygara i mnóstwo okularów i nanośników potłuczonych lub połamanych.

— Czy doktor był krótkowidzem? — zapytał.

— Nie, lecz miał oczy znużone pracą.

W ciągu tego detektyw przyglądał się pilnie małej, widocznie wyrwanej z notatnika, ćwiartce papieru z nakreślonymi na niej wyrazami, których znaczenia nie mógł zrozumieć.

— Czy to jest pismo męża pani?

Julia nachyliła się i głośno odczytała słowa, nakreślone pośpiesznie i niewyraźnie:

„Dziś, dnia 1 czerwca 1907 roku. Otrzymane X... E. L. na dole, na lewo, pomiędzy aktami J. i G. B.“

— Tak — szepnęła młoda kobieta — to on niezawodnie napisał te wyrazy.

Guillaume zamyślił się na chwilę, poczem wsunął papier do swego pugilaresu.

— Wszystko, co się wydaje tajemniczem, zabrać należy — oświadczył. — Niekiedy całkiem niespodzianie, tajemnica treść się wyjaśnia i tworzy cenne ogniwo łączące jedno odkrycie z drugiem.

Następnie podszedł do sekretarzyka w stylu cesarstwa, przy zamku którego wisiał pęk kluczy.

— Czy te klucze znajdowały się już dawniej przy meblu, czy też zawieszono je tu po śmierci doktora?

Julia usiłowała przypomnieć sobie, lecz napróżno.

— Brat mój, bezwątpienia, wiedzieć o tem będzie.

— Chciej pani z łaski swojej go przywołać.

Zaledwie Marceli dowiedział się, o co chodzi, rzekł natychmiast:

— Wczoraj rano klucze doktora leżały na kominku, co mnie nawet bardzo zdziwiło, szwagier mój bowiem nie rozstawał się z nimi nigdy, ani na moment; dostrzegłem nadto, że w pęku znajduje się klucz od drzwi zewnętrznych, bez którego dyrektor nie mógłby ani wejść, ani wyjść z domu.

— To mnie mocno zajmuje! — zawołał Guillaume.

— To może zajmować pana komisarza niezawodnie — powiedział Marceli — bo nasuwa się na myśl przypuszczenie, że ktoś po śmierci doktora zabrał mu klucze i przyszedł do pracowni w zamiarze szukania czegoś.

— Czy drzwi domu są zawsze zamknięte?

— Nieustannie, dniem i nocą. Jest to konieczne ze względu na obłąkanych; obawiamy się bowiem ciągle, aby który z nich nie uciekł.

— Czy stwierdzono, że drzwi wczoraj były zamknięte?

— Tak, były zamknięte. Zresztą mówię o tych jedynie, które nas interesują w tej chwili, to jest o drzwiach od oszklonego korytarza i schodów, które tylko memu szwagrowi służyły do wchodzenia i wychodzenia z domu.

— Czy kto jeszcze, prócz dyrektora, posiadał podobny klucz do tych drzwi?

— Tylko dwie osoby: doktor Jintot i Mikołaj Sempuis, naczelny dozorca zakładu.

— Może jeden z nich drzwi zamykał?

— Pytałem o to; obaj odpowiedzieli, że nie.

Guillaume stuknął parę razy palcem w spuszczony blat sekretarzyka.

— Otóż obecnie jesteśmy pewni, że w ciągu nocy, w której popełniono zbrodnię, ktoś wszedł do pracowni w celu, który wyjaśnić należy i pozostawił tu klucze doktora.

— Lecz — zauważył Marceli — w jaki sposób stąd wyszedł, jeśli tu klucze pozostawił?

— Albo w tenże sam sposób, przy pomocy własnego klucza, albo przez wnętrze domu!

Na twarzy Marcelego odmalowało się zmartwienie.

— Więc wszystko zdaje się wskazywać, że złoczyńcą jest jeden z domowników.

Komisarz skinął poważnie głową.

— To nie ulega żadnej wątpliwości!

I zmieniając naraz ton głosu, zapytał:

— Czy doktor papiery wartościowe i gotówkę chował zwyczajnie w tym sekretarzyku?

— Nie, nigdy. Szwagier mój miewał tu i przy sobie tylko bardzo nieznaczne kwoty; najczęściej nawet nie nosił i nie pozostawiał tu pieniędzy wcale. Zamykał je zwykle w ogniotrwałej kasie.

— Gdzie znajduje się kasa?

— W biurze. Doktor tylko sam umiał ją otwierać.

— Czy nie naruszona?

— Najniezawodniej nietknięta.

Guillaume przejrzał szybko wszystko, co znajdowało się w górnych szufladach sekretarzyka. Zawierały one tylko papiery osobiste, nie mające żadnego znaczenia i nie odnoszące się do celu poszukiwań. Poczem otworzył dolną część mebelka, stanowiącą rodzaj szafki o dwóch półkach. Półki zapełnione były plikami papierów. Pierwszy, jaki rozwinął, składał się z faktur i rachunków uiszczonych, z wykazów hipotecznych posiadłości, oraz z planów architektonicznych zakładu.

Nagle oczy komisarza zatrzymały się na dwóch plikach, noszących na sobie napisy:

Akta J. Akta G. B.

— A! a! — krzyknął, niemal wesoło.

Wyjął z pugilaresu tajemniczy papierek, znaleziony w biurku i przeczytał głośno:

„Dziś, dnia 1-go czerwca 1907 roku. Otrzymane X... E. L. na dole, na lewo, pomiędzy aktami J. i G. B.“

Poczem zapytał żwawo:

— Jakie było imię chrzestne zamordowanego pensyonarza, pana Laborda?

— Emanuel.

Oczy byłego ajenta zamigotały radośnie.

— Zatem inicyał jego imienia i nazwiska składał się z liter E. L... Wybornie!

A widząc, że Julia i Marceli nie rozumieją znaczenia słów jego i zadowolenia, z jakiem je wymówił, zaczął im tłómaczyć:

— Nasuwa się niewątpliwe mniemanie, że doktor Manescault otrzymał do przechowania papiery, należące do Emanuela Laborda. Ten papierek... widocznie notatka, służyć mająca za przypomnienie... a także i tu leżące akta wskazują, że depozyt musiał spoczywać pomiędzy obu plikami... Brakuje go,



Tak — szepnęła młoda kobieta — to on niezawodnie napisał te wyrazy.

jak widzicie państwo... Zatem zabrany został przez osobę, która tu weszła w nocy po dokonanej zbrodni i przywłaszczyła go sobie, otworzywszy sekretarzyk skradzionymi lub wyrwanymi z rąk doktora kluczami.

Marceli słuchał z zachwytem wywodów komisarza.

— Tak, tak być musi!... To niezawodne! Lecz jakie to mogły być papiery?... Nie musiały posiadać większej wartości, jeśli mój szwagier nie schował ich do kasy. Składając je w sekretarzyku, dał dowód, że to były jakieś dokumenty, bez donioślejszego znaczenia.

Na twarzy Guillauma odmalowało się coś w rodzaju rozczarowania.

— Tak, tak... mniemanie pańskie wydaje mi się słuszne — mruknął półgłosem. — Jednakże bardzo często... nieprawdaż?... pewne papiery wydawać się mogą jednemu bezwartościowymi, gdy dla innej osoby mogą mieć wartość pierwszorzędną...

Ukląkł i zaczął niezmiernie pilnie badać wnętrze mebelka, oraz miejsce, na którem stał sekretarzyk.

Nagle podniósł się z zwycięskim okrzykiem:

— A! mam coś nareszcie!

Biletem wizytowym, znalezionym w sekretarzyku, zebrał z posadzki drobne okruszyny fioletowego laku. Pod meblem zaś udało mu się zsunąć na bilet cząstkę tegoż samego laku, tak dużą, jak srebrna sztuka pięćdziesięcio centimowej monety, a na cząstce tej widniała litera E, wyciśnięta prawdopodobnie pieczątką; pod nią wisiał, mocno do niej przylegający, kawałek szpagatu.

Z miną tryumfatora rzekł Guillaume:

— Plik był opieczętowany... Złodziej, tu na miejscu, rozłamał i oderwał pieczątkę, ażeby przekonać się co zawierają skradzione akta... Pan Emanuel Laborda musiał je powierzyć doktorowi, nie zawiadamiając go jakiej natury dokumenty w sobie mieszczą i jaką wartość posiadają...

Marceli przytwierdził.

— Tak! W rzeczy samej... To tylko właśnie tłómaczy, dlaczego szwagier, uważając depozyt za składający się z papierów bez znaczenia, złożył je tutaj... Lecz czem w istocie mogły być te dokumenty, jeśli chęć przywłaszczenia ich sobie popchnęła kogoś do zamordowania aż dwóch ludzi?

— To — odparł Guillaume — wskaże nam może dopiero dokładne zbadanie Pawilonu bzów... Laborda nie mógł powierzyć doktorowi aktów, nie otrzymawszy na nie kwitu... Chyba, że osoba, która skradła dokumenty, postarała się także o zniszczenie pokwitowania. Lecz przekonamy się o tem tam, na miejscu...

— Mój Boże! kto może być tym nędznikiem? — zawołała Julia z niepokojem.

Marceli, któremu oczy rozgorzały niezwykłym ogniem, odparł bez namysłu:

— Kto?!... Czyż oboje państwo nie macie jego nazwiska na ustach?... Kto od drzwi wchodowych posiada drugi klucz, podobny do klucza doktora?... Kto znał dokładnie interesa Emanuela Laborda?... Kto wciągnął dyrektora do Pawilonu bzów?

Julia, drżąca cała, krzyknęła z oburzeniem:

— Och, Marceli! Ośmielasz się podejrzywać doktora Jintot?!

Guillaume skinął ręką poważnie.

— Powoli! powoli!... Nie oskarżajmy nikogo, dopóki nie znajdziemy choćby drobniuchnego śladu, mogącego służyć za dowód zbrodni... Sam na sobie mogłeś pan doświadczyć, jak najprawdopodobniejsze posądzenie może być mylnem!

Marceli, nagle uspokojony, opuścił głowę na piersi.

— Masz pan zupełną słuszność! — szepnął.

Komisarz zastanawiał się znowu czas jakiś. Poczem rzekł:

— Najbardziej interesującem jak dotąd odkryciem naszem, jest odkrycie prawdziwego bohatera dramatu... Dotychczas można było sądzić, że śmierć pana Laborda była rezultatem, wywołanym przez mord, dokonany na doktorze Manescault. Tym zasem widzimy teraz, że doktor zginął dlatego, iż zbrodniarz potrzebował nietylko uśmiercić Emanuela Laborda, lecz zarazem zawładnąć dokumentami, pozostającymi pod strażą dyrektora zakładu. Więc obecnie w otoczeniu pierwszego poszukiwać musimy mordercy.

Na twarzy Marcelego rozpostarł się wyraz zniechęcenia.

— Lecz w jaki sposób?... Ten człowiek był zupełnie sam, bez rodziny. Od czasu, jak wszedł do zakładu, nikt go nie odwiedzał. Nie otrzymywał nawet listów...

— Kto za niego płacił w zakładzie?

— On sam.

— Ile wynosiła opłata?

— Dwa tysiące franków miesięcznie.

— Tam do licha!

— To stała cena dla pacyentów, zamieszkujących odrębne szalety. Laborda uiścił dwukrotnie należność, wnoszoną zwykle z góry.

— Musiał zatem fundusz swój mieć przy sobie?

— Nie, bo to sprzeciwia się regulaminowi zakładu. Złożył w gotowiźnie dwadzieścia tysięcy franków u doktora Manescault, który w miarę jego potrzeb, dostarczał mu pieniędzy.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Wyścigi wojskowe w Krakowie.

Staraniem 3 pułku ułanów odbyły się w ubiegły wtorek wyścigi konne na torze za rogatką Wolską. Dzięki prześlicznej pogodzie i wolnemu wstępowi, zebrały się na trybunach i wszystkich miejscach tłumy publiczności, nietyle doborowej, ile ciekawej. Słyszało się tam też uwagi, świadczące o zupełnej naiwności widzów i nieznajomości sportu konnego.

Wyścigi były interesujące zwłaszcza z tego powodu, że wszystkie biegi były z przeszkodami i że pola były duże. Kombinacye wobec nieznajomości koni i jeźdźców były wykluczone, to też prawie wszystkie biegi kończyły się niespodziankami, czego wyrazem były ogromne sumy, płacone przez totalizatora, jak n. p. 78, 79, 126, a nawet 346 koron za 10 koron.

Wypadków było kilka, ale wszystkie drobne.

Z wyścigów tych zamieszczamy dziś kilka zdjęć.

Echa strajku angielskiego.

(Do illustracyi na str. 9 i 10).

Po pamiętnym strajku, który przez szereg dni groził Anglii całej fatalnemi następstwami i pociągnął za sobą grube straty materyalne, zwolna uspakajają się umysły i wszystko wraca tam do normalnego stanu.

Było to ostatecznie do przywidzenia. Anglicy są narodem na wskróś trzeźwym i realnie na życie patrzącym. Wybuch więc gwałtowny, pełen namiętności, musiał przejść rychło, jako coś naturze angielskiej przeciwnego. Tak się też stało.

Inna rzecz, że były w strajku ostatnim momenty bardzo tragiczne, sytuacye bardzo krytyczne. Wszak kilkakrotnie przyszło do rozlewu krwi. Działo się to wówczas, gdy zrewoltowany tłum groził, lub co gorsze rzucał się na pracujących. Wówczas interweniowała policya, w poważniejszych wypadkach nawet wojsko.

Na ogół jednak, jeśli się zważy, jak ogromny teren obejmował strajk, jakie rzesze brały udział w bezrobociu, przyznać trzeba, że przebieg jego był względnie spokojny. Zasługa to władz tamtejszych, które umieją rozważnie a bardzo energicznie postępować, umieją zapobiegać nieszczęściom.

Kradzież słynnego obrazu.

Cały świat cywilizowany jest pod wrażeniem niesłychanie śmiałej kradzieży, dokonanej w ubiegłym tygodniu w muzeum Luwru w Paryżu. Zginął stamtąd w tajemniczy, niewyjaśniony dotąd sposób jeden z najcenniejszych obrazów, słynna „Gioconda“ Leonarda de Vinci.

Obraz ten jest portretem Mony Lizy Gherardini, trzeciej żony Francesca del Gioconda, z którą ge nialnego malarza łączył bliski stosunek.

W twórczości Leonarda de Vinci „Mona Liza“ oznacza najwyższy punkt doskonałości w dziale portretu. Nad dziełem tem pracował on cztery lata, a przez cały ten czas portretowana często pozowała artyście. Według legendy, Leonardo w czasie pracy nad portretem zajmował pozującą długiemi dysputami na temat zagadnień filozoficznych. Tem tłómaczy się głębokie skupienie w wyrazie oczu i składzie twarzy. Lekki uśmiech wyjaśniają reakcyą Mony Lizy na melodye, grane przez uczniów mistrza za kotarą w czasie pracy nad portretem. W r. 1500 portret był skończony. Po wyjeździe Leonarda de Vinci na dobrowolne wygnanie, zakupił dzieło król Franciszek I. i oddał je galeryi w Fontainebleau, skąd za Ludwika XIV. przeniesiono je do Wersalu; w czasie rewolucyi przeszła „Mona Liza“ do zbiorów Luwru.

I oto teraz rozeszła się wiadomość, iż portret ten, ozdoba muzeum w Luwrze, bezcenne dzieło sztuki, jakich wogóle nie wiele istnieje na świecie, został skradziony.

Trudno zrozumieć, kto mógł ten wandalski krok popełnić, wobec tego, że jakiekolwiek korzyści materyalne z takiej kradzieży były wykluczone. Portret „Mony Lizy“ jest dziełem tak powszechnie znanem, że żaden handlarz, ani żaden zbieracz dzieł sztuki nie nabędzie go.

Wobec tego nasuwa się przypuszczenie, że kradzież jest niewczesnym żartem w celu wykazania niedostatecznej straży nad najcenniejszemi dziełami sztuki, lub że popełnił ją człowiek chory umysłowo. Możliwe też jest, że ukradł „Monę Lizę“ jakiś fanatyczny miłośnik sztuki, który chce rozkoszować się bodaj chwilowem posiadaniem bezcennego dzieła sztuki, lub wreszcie, że spełniono tę kradzież na rachunek któregoś z miliarderów amerykańskich, przypuszczających że obraz ten w ich galeryi będzie się mógł utrzymać.

Na ogół sprawa jest niesłychanie tajemnicza, a w całym Paryżu a właściwie w całym świecie wywarła ogromne wrażenie. Policya paryska od kilku dni śledzi z całem wytężeniem za śladami sprawców zbrodni, jak dotąd jednak, bezskutecznie.

Zniknięcie „Giocondy“ oznacza dla Luwru stratę niepowetowaną, nie dającą się wprost w cyfrach przedstawić. Określenie ceny obrazu tego na 5 milionów franków nie jest właściwe, boć jasna rzecz, iż wartość tego rodzaju unikatów sztuki wogóle nie da się określić.



Wyścigi wojskowe w Krakowie: Trybuna sędziów.



Wyścigi wojskowe w Krakowie: Tłumy publiczności na trybunach i placu wyścigowym.



Wyścigi wojskowe w Krakowie: Bieg koni służbowych ułanów.

Kronika tygodniowa.

Z pomiędzy powracających na zimowe leże letników i „kuracyuszów“ najmniej zadowolonych spotykamy wśród tych, co byli w kraju „otaksowani“, to jest przebywali w takich miejscowościach klimatycznych, w których płaci się taksę za to, że wytryska tam jakaś woda lub są tam jakieś góry. Otaksowani dzielą się na dwie grupy: chorych i zdrowych. Zadowolenie tych pierwszych zależy od skutków kuracyi. Jeżeli czują się zdrowsi, silniejsi, to zamykają oczy na niewygody i braki „uzdrowisk“, a zachwycają się cudownymi ich skutkami; natomiast ci, którym się nie polepszyło, a nawet pogorszyło, wszystko w czarnych malują kolorach, choćby nawet to i owo pochwalić należało. Z tego powodu na opinii tej pierwszej grupy polegać nie można. Natomiast druga grupa, zdrowszych, ma wszelkie warunki do wydania „zdrowego“ sądu. Nie pojechała zagranicę, bo albo liczyła się z groszem, albo dla zasady nie chciała wywozić pieniędzy z kraju; nie osiadła po wioskach i folwarkach, bo chciała mieć towarzystwo, „widzieć ludzi“, korzystać z tych wygód, jakie dają, lub dawać powinny zakłady kąpielowe lub większe letniska. Ale i w tej grupie często zadowolenie lub niezadowolenie zależy od ubocznych okoliczności. Młodsi jej członkowie i członczycie oceniają wartość letnisk i uzdrowisk ze stanowiska zabawy lub zaspokojenia potrzeb sercowych. Jeżeli dobierze się kółko wesołe, które urządza wycieczki i zabawy, flirtuje i romansuje, to i największa „dziura“ wydaje mu się rajem, a gdy tego niema, to i raj wydaje się zakazaną „dziurą“. Otóż tylko druga, starsza część tej grupy zdrowych, może zachować bezstronność w ocenie dodatnich i ujemnych warunków naszych uzdrowisk. Część ta pragnie odpoczynku i miłych wrażeń, jakie daje piękna pogoda, a od ludzi, którzy tę przyrodę wzięli w arendę, wymaga wygód, za które im płaci, nieraz bardzo dużo płaci. Wymagania te nie są wielkie. Nikt nie żąda pałaców, wielkiego konfortu, co daje zagranica. Każdy poprzestałby na schludnem mieszkaniu, dobrej usłudze, nie wykwintnem lecz zdrowem pożywieniu, na dobrej wodzie, na zachowywaniu przez „władzę“ przepisów hygienicznych, na dobrem i czystem utrzymywaniu deptaków i chodników, na przyzwoitem oświetleniu itp. itp., wreszcie na życzliwem do gości odnoszeniu się tych wszystkich czynników miejscowych, które z tych gości żyją i tyją. Poza tem jeszcze, oczywiście, każdy ma prawo wymagać, aby go nie zdzierano do koszuli, aby przy mniejszych o 100 procent wygodach, niż daje zagranica, miał przynajmniej o 10 procent mniejsze wydatki.

Wymagania to bardzo skromne, a jednak według zgodnych relacyi tej grupy „otaksowanych“, której przyznałem posiadanie najlepszych warunków do wydania bezstronnego sądu, wymaganiom tym uzdrowiska i letniska nasze po większej części nie odpowiadają. Piszę „po większej części“ jedynie dlatego, aby przypadkiem nie wyrządzić krzywdy jakiejś wyjątkowej miejscowości, która na tę krytykę nie zasłużyła. Może taka gdzie się znajduje — będę rad, jeżeli o niej usłyszę i obowiązkiem moim będzie na tem miejscu wypisać jej sążnistą pochwałę. Ale nie doszły mnie o niej wieści i nic o niej nie słyszało to grono ludzi poważnych i dość „świat znających“, które przed kilku dniami w naszej „letniej stolicy“ na ten temat obszerną prowadziło dyskusyę.

— Po dwudziestu latach — mówił między innemi p. X. — odwiedziłem uroczą... (nazwę miejscowości opuszczam, bo mam niejaką nadzieję, że już w bliskiej przyszłości nastąpi w niej zmiana na lepsze). Uroczą ją nazywam, bo nie znam w naszym kraju więcej obdarzonego przez naturę uzdrowiska. Ale jeżeli natura się wysiliła, to ludzie przez lat dwadzieścia żadnych nie uczynili wysiłków, aby ten zakład podnieść, rozwinąć, udoskonalić. Wprawdzie z powodu zwiększonej dwukrotnie frekwencyi przybyło sporo nowych will, ale wpłynęło to tylko na powiększenie ciasnoty i brudu. W samym zakładzie nic się nie zmieniło. Stoją te same zakładowe drewniane budynki, które stały przed laty dwudziestu, a miały już one wówczas po lat 20 i 30, więc poczerniały, zbrzydły, wieje z nich zapach stęchlizny, niektóre rozsypują się. Zapadają się też i gniją powoli pawilony ze źródłami, pawilon dla orkiestry, kapliczka, kryte chodniki, przeznaczone na czas niepogody, a nawet dom zdrojowy. Pomnik wzniesiony niegdyś na cześć zasłużonego, nietylko dla tej miejscowości, męża, jest w stanie ruiny — z trudem można odcyfrować zniszczony do połowy napis. Budynki i urządzenie łazienek nad wyraz prymitywne. Ścieżki w lasach zniszczone, droga do ulubionego miejsca wycieczek zepsuta. Wodociągów niema, a w głównym zakładzie woda studzienna nie do picia, żółta, pełna glinki — w dniach posuchy i tej dostać nie było można. Meble w domach zakładowych pamiętają czasy przedkonstytucyjne — reszta urządzenia też z tych czasów pochodzi. Usługa niedostateczna, bo na ogromne domisko jest dwoje służących, więc też nie wolno żadnego używać do posyłki choćby o 10 kroków. Dezynfekcya mieszkań daje ładne dochody, a wykonywana jest na kpiny. W czytelni zakładowej oprócz kilku gazet niemasz żadnego pisma poważniejszego, literackiego lub naukowego. Jedyna zmiana to jakość publiczności. Niegdyś przybywały tu całe zastępy ze sfer „obywatelskich“ i intelligencyi — obecnie ci goście stanowią 10% wobec 90% brudnych chałatowców. Jeden z dwu pięknych parków objęli oni na swą wyłączną własność, w drugim obsiadają wszystkie ławki i trawniki...“

Mniej więcej w ten sam sposób charakteryzowano inne uzdrowiska. Narzekano na fatalne mieszkania, przepełnienie w łazienkach, haniebną usługę, brud i nieład na każdym kroku, zaniedbanie przepisów hygienicznych (w pewnym zakładzie służba o 20 kroków od źródła wyrzuca koło miejsca ustępowego watę, którą wycierają sobie gardła suchotnicy), a wreszcie na wyzysk i drożyznę.

— Czy wierzycie panowie — mówił pan Y. — że za ten sam pokój, za który płaciłem w X. w r. 188) guldena dziennie, płaciła moja żona w roku zeszłym 7 koron, a miała to samo urządzenie, które mnie przed 21 laty służyło. I nie znalazłem również nic „nowego“ w tym zakładzie, prócz zasadzenia drzewkami jakiegoś morga nieużytku. Niewygody te same, wille te same, łazienki te same, wszystko tak jak było, tylko się ku starości grubo pochyliło.

— No, ale przynajmniej — wtrącił ktoś inny — nasze Zakopane naprzód postępuje.

— Ale cofa się — odrzekł najstarszy z nas wszystkich „znawca“ Zakopanego. Nie przeczę, że się zabudowało, że ma parę dobrych hoteli, kilkadziesiąt niezłych pensyonatów, że nie potrzeba, jak przed laty prosić p. Ringelhaupta, aby sprowadził mięso z Nowego Targu...

— Ba! A wodociągi...

— Prawda, są wodociągi, choć brak kanalizacyi. Przybywają i wielkie koszary p. Chramca. Przybyła i ulica Marszałkowska, mamy kolej — i to prawda. Ale, wierzcie mi, że bez tego wszystkiego miało Zakopane dawniej więcej uroku. Oddychało się w niem ongi świeżem powietrzem — a gdzie teraz ono? Kurz, hałas, samochody, brud, smród — oto zyski Zakopanego. A drożyzna? — a toż ze skóry nas tu obdzierają.

— A jakie miłe błotko. Nie zdobyto się na porządne chodniki. Dawniej był dworzec tatrzański, który ludzi gromadził i ze sobą zapoznawał — dziś jest jakiś domek z kilku dziennikami. Dopiero tego roku odzyskano dawny park, przez szereg lat nawet muzyka gdzie grać nie miała...

— Pozwólcie panowie, że i ja coś dorzucę — odezwał się jeden z redaktorów. — W Zakopanem nie byłem od ośmiu lat, gdyż otwarcie przyznaję, że mnie nie stać na Zakopane. Zagranicą, nad morzem, w pierwszorzędnym hotelu mam dla 5 osób, t. j. siebie, żony i trojga nieletnich dzieci, dwa duże pokoje z komfortem i wybornem utrzymaniem, o jakiem u siebie nawet w domu marzyć nie mogę, za 20 marek dziennie. W Zakopanem wydałem już przez półtora miesiąca blisko 2000 koron, a żyję jak robotnik, na nic sobie nie pozwalając, prócz wycieczki do Kuźnic, gdzie ciastko kosztuje 12 centów (a dzieci ciastka lubią, na jednem się nie ograniczą). Już pierwsze moje wrażenie było fatalne. Przyjechałem sam dopiero w parę tygodni po rodzinie. Wysiadam i wchodzę w olbrzymi, niesłychany tuman kurzu — poprostu oddychać nie mogłem — na coż te wodociągi, jeżeli nawet nie polewa się drogi przy kolei? Biorę dwukonnego fiakra, jadę do domu. Wysiadam, płacę fiakrowi 1 kor. 80 (taksa wynosi 1 kor. 60 h.) i mam na wstępie piekielną awanturę, bo góral mówi, że mu się należą 3 korony. Powołuję się na taksę, na klimatykę, ten mi na to: „To siadajcie na klimatykę, niech was wozi...“ Żądam więc, aby jechał na klimatykę, lecz on zabiera mi wyniesioną już walizkę i grozi batem, jeżeli mu nie zapłacę 3 koron. Ludzie się zbierają, gapią, chcę się z dziećmi przywitać, rozdać im prezenta — więc pal cię dyabli, daję 3 korony i notuję numer fiakra. Zaciął konie i pożegnał mnie znaną propozycyą z dodaniem: dziadu!

— E! to rzecz zwykła — zauważyłem — to nikogo nie minie, jeżeli nie chce dać się zedrzeć...

— Pozwól pan, że dokończę. Po południu udałem się do klimatyki. Przyszedłem w godzinie urzędowej, bo o 5 tej, ale pana komisarza nie było. Powróciłem za godzinę, ale p. komisarz jeszcze nie przyszedł. Uparłem się i czekałem do $^3/_4$ na 7. Pokazało się, że p. komisarz to mój szkolny kolega — chwała Bogu, ten mi pomyślnie rzecz załatwi, boć mam za sobą i prawo i koleżeństwo. Oczywiście, oświadczył, że się zrobi, co się da, ale z góry zapowiedział, abym się nie łudził, że góralowi co się stanie. Nie — on, komisarz, nie ma żadnej ingerencyi — policya żyje z góralami dobrze, fiakier jest pewny bezkarności, kpi sobie z całej klimatyki.

— Wiemy o tem dobrze — zawołaliśmy chórem.

— Na dobitkę — ciągnął dalej redaktor — dzieci moje nabawiły się malaryi, żona również jest niezdrowa; prawdopodobnie przyczynił się do tego grzyb, jaki, pokazało się, toczy willę, w której za 2 pokoiki, przedpokój i kuchnię (no i wychodek bez drzwi o 150 kroków od mieszkania) zapłaciłem za sezon dwumiesięczny 600 K. Ładny interes! Wydałem, jak mówię, blizko 2000 K na podróż, mieszkanie, utrzymanie i „przyjemności“ kuźnickie — i wracam zdenerwowany, ze szpitalem. A prawda, jeszcze drobny szczegół. Chciałem jechać w niedzielę rano do Morskiego Oka, ale góral powiedział, że ksiądz zakazał przed sumą wyjeżdżać — „chyba (dodał) dacie 38 koruneк, to ta wezne ten grzych na moje sumienie“...

Inny z dziennikarzy poruszył sprawę obchodzącą wprawdzie tylko kieszeń dziennikarską, ale bądź co bądź charakterystyczną.

— W całym świecie — mówił — dziennikarze są uwolnieni od „taksy“, tylko nie w Zakopanem. Świeżo byłem n. p. w Abbazyi i zaraz po zameldowaniu właściciel pensyonatu oświadczył mi, że od „Kurtaxy“ jestem uwolniony. Tak samo mówiono mi, jest w Maryenbadzie, Karlsbadzie, Ems i t. d. To mało, bo n. p. w Nauheim, gdzie byłem przed kilku laty, w trzy dni po przyjeździe otrzymałem list z prośbą, abym był łaskaw wstąpić do dyrekcyi. Myślałem, że idzie o jakąś formalność, aż tu pan dyrektor zakładu, *hofrat* uorderowany po uprzejmem powitaniu zapytał mnie, czy nie potrzebuję kąpieli i na twierdzącą odpowiedź kazał mi wystawić kartę na 30 bezpłatnych kąpieli (jedna po 8 marek), poleciwszy sekretarzowi, aby zamówił mi godzinę, jaką sobie sam wybiorę. To samo spotkało bawiącego wówczas w Nauheim jednego ze współpracowników *Kuryera Warszawskiego*. Obaj otrzymaliśmy zaproszenie na uroczystość poświęcenia nowych łazienek i byliśmy na bankiecie, na którym, mimo wypraszania się, przedstawiono nas księciu Hessen-Nassau, który dopytywał się o nasze bady. Natomiast od obecnego na tem zebraniu dziennikarza niemieckiego dowiedzieliśmy się, że bawił kiedyś kilka dni w Krynicy i mimo wylegitymowania się, musiał taksę zapłacić, bo mu zagrożono egzekucyą...

Że tak jest, potwierdza i kronikarz *Nowości*, bo i jego w zagranicznych badach bez prośby od taksy i zapłaty za kąpiele uwalniano, oraz różne mu „honory“ czyniono, a w naszej ściślejszej galicyjskiej ojczyźnie widział, jak nietylko ściągano taksę od dziennikarzy, ale chciano ją ściągnąć nawet od dziennikarza, należącego do Towarzystwa, którego członkom przyznano z góry uwolnienie od taksy zdrojowej — i trzeba było dopiero „protekcyi“, aby mógł korzystać z tego, do czego miał nabyte prawo.

Smierć zasłużonego kapłana.

W ubiegłym tygodniu złożono na cmentarzu przemyskim na wieczny spoczynek zwłoki zasłużonego kapłana, księdza dra Pawła Rawskiego, profesora filozofii i teologii w przemyskiem seminaryum duchownem obrządku łacińskiego.



Śmierć zasłużonego kapłana: Profesor seminaryum duchownego w Przemyślu ks dr. Paweł Rawski.

Urodzony w roku 1863 we Wielowsi, po ukończeniu szkół średnich i wydziału teologicznego na krakowskim uniwersytecie, gdzie promował się na doktora teologii *sub auspiciis imperatoris*, poświęcił się ks. Rawski jako młody kapłan pracy nauczycielskiej i habilitował na docenta krakowskiej wszechnicy, wkrótce zaś został profesorem nadzwyczajnym. Usunięty z profesury przez kardynała ks. Puzynę i przeniesiony na stanowisko wikaryusza w zapadłej wsi górskiej, pospieszył, ulegając przełożonej władzy, na nowy posterunek, na którym jednak nie długo pozostał, gdyż ksiądz biskup Pelczar, znając zalety młodego kapłana, jednego z najlepszych swych uczniów, zaraz po nominacyi na biskupa przemyskiego powołał go do swego boku i zamianował profesorem seminaryum duchownego w Przemyślu. Na nowem stanowisku pracował ś. p. ks. Rawski z całem zaparciem się i poświęceniem, zyskując ogromną sympatyę pomiędzy słuchaczami, którzy znaleźli w nim wyrozumiałego i światłego przewodnika i przyjaciela. Ponadto piastował zmarły godność radcy i referenta konsystorza biskupiego, egzaminatora synodalnego, członka sądu małżeńskiego i rektora seminaryum chłopców. W najbliższych czasach miał się ks. Rawski przenieść do Lwowa jako profesor teologii tamtejszego uniwersytetu.

Niestety, nieubłagana śmierć przerwała pasmo dni zasłużonego żywota. W dniu 14 sierpnia b. r. zmarł we Lwowie w sanatoryum dra Soleckiego, dokąd się udał celem poratowania nadwątlonego zdrowia. Zgasł w sile wieku, liczył bowiem czterdzieści osm lat. Zwłoki przewieziono ze Lwowa do Przemyśla i tutaj, po nabożeństwie żałobnem, odprawionem w katedrze rzymsko katolickiej, złożono na miejscu wiecznego spoczynku.

Z pracy oświatowej.

Piękną i naśladowania godną myśl powzięło Koło T. S. L. w Dąbrowie, które pod przewodnictwem p. Braunowej rozwija gorliwą działalność nad podniesieniem oświaty w powiecie. W porozumieniu z wydziałem miejscowego „Sokoła", przy którym niedawno zawiązało się kółko dramatyczne i śpiewackie, postanowiło T. S. L. urządzić szereg ludowych przedstawień po okolicznych gminach.

Pierwszym takim występem był wieczorek w Otfinowie. Mimo że wieś ta oddalona jest od Dąbrowy przeszło dwie mile, mimo niepewną pogodę, wyruszyła tamże „trupa artystyczna" na występ gościnny. Program wieczorku był urozmaicony; złożyły się nań produkcye chóru, monologi, solo skrzypcowe, wreszcie obrazek ludowy: „Łobzowianie". Licznie zebrana inteligencya z okolicy, jakoteż włościaństwo gorąco oklaskiwało udatną grę amatorów; dochód z wieczorku dość znaczny przeznaczono na budowę sokolni w Dąbrowie.

Katastrofa automobilowa.

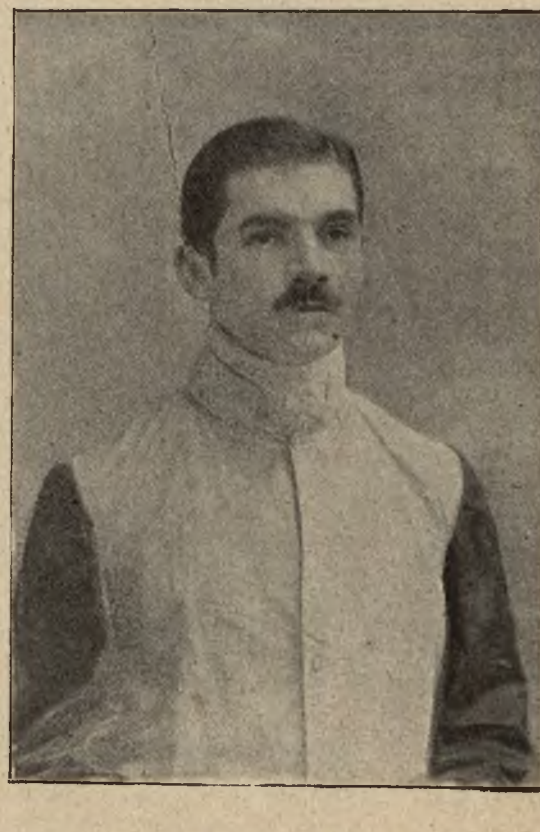
W nocy z poniedziałku na wtorek bieżącego tygodnia był gościniec mogilański widownią wstrząsającej tragedyi. W stronę Krakowa posuwał się automobil, w którym siedzieli państwo Ustyanowiczowie, hr. Ledóchowski i szofer, z przeciwnej nadjechała fura chłopska, mimo ciemnej nocy zupełnie nie oświetlona. W ostatniej chwili, na samym skręcie spostrzegłszy wóz, zwolnił p. Ustyanowicz, który prowadził automobil, bieg samochodu i chciał wyminąć, chłopski koń jednak, oślepiony jasnym blaskiem latarń, skręcił nagle w bok i to właśnie w stronę automobilu. Dyszel uderzył p. Ustyanowicza w brzuch, przebijając jego powłokę i wywołując natychmiastową utratę przytomności. Kierownica wypadła mu z ręki, a samochód niezatrzymany uderzył o drzewo tak silnie, że wszyscy jadący znaleźli się na ziemi, automobil zaś wpadł do rowu. Pani Ustyanowiczowa odniosła ranę w czoło, hr. Ledóchowski boleśnie poranił sobie obie ręce.

Zawezwane telefonicznie pogotowie ratunkowe opatrzyło nieszczęśliwych i zajęło się poważnie chorym p. Ustyanowiczem, którego bezzwłocznie przewieziono do Lecznicy Związkowej przy ulicy Garncarskiej. Tutaj skonstatowano pęknięcie żołądka i wątroby, z powodu jednak znacznego osłabienia pacyenta nie przystąpiono do operacyi, aby niepotrzebnie nie przysparzać cierpień osłabionemu, zwłaszcza że lekarze wykluczyli wszelką możność utrzymania go przy życiu.

Nad ranem, w nocy z wtorku na środę zmarł też nieszczęśliwy, osierocając poślubioną przed kilku zaledwie miesiącami młodą żonę i grono przyjaciół i znajomych. Zwłaszcza Towarzystwo sportowe „Wisła" traci w ś. p. zmarłym, gorącego swego poplecznika i szczodrego dobrodzieja. Zmarły uchodził za znakomitego znawcę wszelakich sportów.

Jeden z ostatnich.

W ubiegły wtorek zabrała śmierć jedną z najpopularniejszych osobistości Lwowa, dr. Jana Stellę-Sawickiego, uczestnika ostatniej walki o niepodległość, znanego z tych czasów pod imieniem „pułkownika Strusia".



Katastrofa automobilowa: Ś. p. Włodzimierz Ustyanowicz.

Urodzony 1831 roku w miasteczku Szawle na Żmudzi, oddany został jako młody chłopak do „pułku szlacheckiego" szkoły kadeckiej. W 1849 r. został oficerem w lejbgwardyi grenadyerskiego pułku i odbywa kampanię węgierską. Dzięki zdolnościom wnet się wybił i został mianowany podpułkownikiem generalnego sztabu. Po powrocie z podróży zagranicę otrzymał godność szefa sztabu w Kownie.

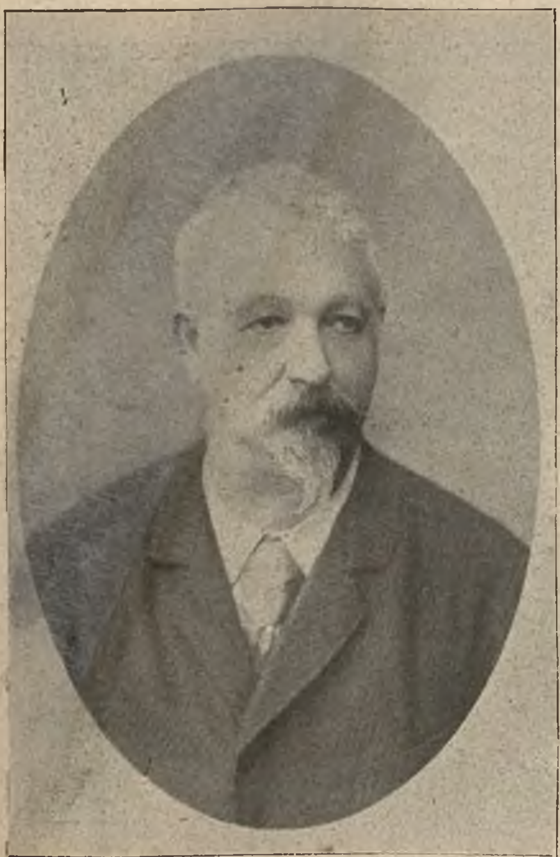
W r. 1863 rzucił służbę i czekające go dygnitarstwa a pośpieszył w szeregi powstańcze. Jako „pułkownik Struś" odznaczył się zaszczytnie i zdobył ogólną cześć. Po upadku powstania poszedł na tułaczkę, w czasie której studyował medycynę i już 1870 r. uzyskał doktorat. W r. 1871 za sprawą



Z pracy oświatowej: Kółko śpiewackie „Sokoła" w Dąbrowie, z prezesem gniazda Braunem (X).

Smolki otrzymał prawo osiedlenia się we Lwowie, gdzie został pomocniczym lekarzem w szpitalu. Już w trzy lata później mianowano go inspektorem wszystkich szpitali galicyjskich. Na stanowisku tem pracował wytrwale lat 35.

Poza pracą zawodową zajmował się żywo lite-



Złote gody w Krakowie: Józef Splichal.

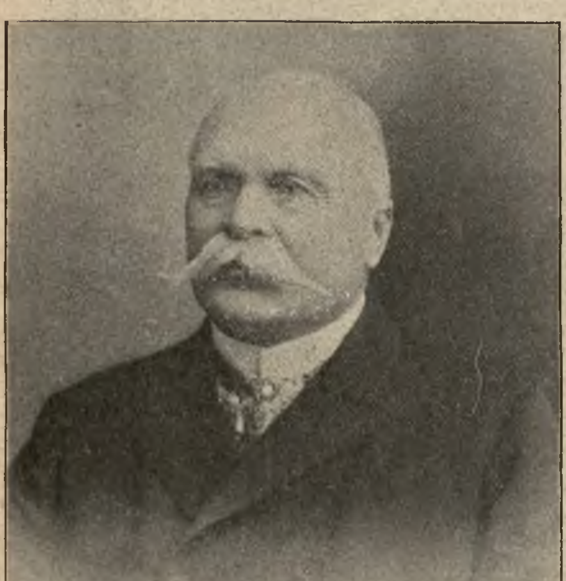
raturą i nauką. Pozostawił też wiele prac wysokiej wartości literackiej. Ostatniem dziełem jego jest praca o powstaniu, ukończona na krótko przed nagłym zgonem.

Postać ś. p. dr. Stelli Sawickiego otaczana była we Lwowie i w całym kraju ogromnym szacunkiem i czcią. Był to bowiem mąż rzadkiej prawości charakteru, człowiek czysty jak łza. Zgon jego nagły, wskutek udaru mózgu, wywołał ogólne współczucie.

Cześć Jego pamięci!

Złote gody w Krakowie.

Rzadką bardzo uroczystość obchodzono w ubiegłą niedzielę w Krakowie, mianowicie uroczystość pięc



Jeden z ostatnich: Ś. p. dr. Jan Stella-Sawicki, znany pod imieniem pułkownika Strusia

dziesięciolecia szczęśliwego pożycia małżeńskiego. Solenizantami byli państwo Józef i Franciszka Splichalowie.

Nazwisko pp. Splichalów znane jest ogólnie w Krakowie. Jako właściciel znanego składu broni i renomowanego warsztatu rusznikarskiego, zdobył sobie uznanie i popularność w kołach myśliwskich Krakowa i okolicy, a jako obywatel prawy, kupiec uczciwy i szanujący swój zawód, cieszy się sympatyą w szerokich kołach mieszkańców naszego miasta.

P. Splichal pochodzi z Czech, urodził się w miejscowości Brandeis nad Orlicą, a przybywszy do Krakowa około 1860 r., osiedlił się tu na stałe. Ożeniony 1861 r., z Franciszką z Serwańskich, Rzeszowianką, doczekał się w tym związku pięciorga dzieci, z których obecnie żyje troje, każde już na swoim chlebie.

Syn Józef jest obecnie wspólnikiem swego ojca i pomaga mu w prowadzeniu interesu. Wykształcony w zawodzie pod kierunkiem ojca, daje rękojmię, iż interesu nietylko nie zaniedba, ale go rozwinie i dzielnie poprowadzi.

W pięćdziesiątą rocznicę ślubu, odbyło się rano w kościele ks. Emerytów nabożeństwo, poczem ks. kanonik Jurgowski udzielił sędziwej parze błogosławieństwa na dalszą drogę życia. Mnóstwo życzeń ustnych i pisemnych, jakie pod adresem Jubilatów nadeszły, były świadectwem życzliwości i sympatyi dla pp. Splichalów. Do życzeń tych i my się przyłączamy.

Nowy władca Abissynii.

Przed niespełna rokiem nadchodziły z Abissynii najsprzeczniejsze wiadomości o stosunkach wewnętrznych, jakie panowały w tym kraju. Cesarz Menelik, czyli Menilek II, właściwy twórca potęgi i znaczenia Abissynii, ogłaszany był raz za nieboszczyka, to znów za żyjącego, co zresztą łatwo sobie wytłómaczyć trudnościami, jakie wynikają z braku odpowiednich środków komunikacyjnych z wnętrzem egzotycznego kraju, oddaleniem jego od Europy, a co najważniejsze nieufnością wobec przedstawicieli kulturalnego świata, którzy wraz z cywilizacyą europejską przynoszą zazwyczaj i niewolę. Dziś jednakowoż nie ulega już najmniejszej kwestyi, że tak zwany negus Menelik nie żyje, na czele zaś cesarstwa abissyńskiego czyli etyopskiego stoi piętnastoletni młodzieniec Lidy Jeassu.

Po śmierci Menelika, sprawował rządy państwa opiekun młodego władcy, Ras Tassama, od czasu jednak jego zgonu młody Lidy Jeassu kieruje sam sprawami potężnego państwa, które na przestrzeni blisko sześciuset tysięcy kilometrów kwadratowych, liczy około pięć milionów mieszkańców.

Menelik, niegdyś zwiący się Sahala Marien, był jednym z najpotężniejszych wielkowładców abissyńskich. Po zabiciu w r. 1889 króla Jana w walce z derwiszami, ogłosił się cesarzem Abissynii i zawarł z Włochami traktat, na mocy którego zobowiązał się porozumiewać z innymi państwami tylko za po-



Złote gody w Krakowie: Franciszka z Serwańskich Splichalowa.

średnictwem Włoch, w zamian za co oni uznali jego prawa zwierzchnicze nad całym krajem i przyrzekli mu czteromilionową pożyczkę. Wkrótce przyszło do nieporozumienia między Abissynią a zarządem włoskiej kolonii Erytrei, które zakończyło się pokonaniem Włochów pod Aduą i pokojem w Addis Abeba, na mocy którego Włochy zrzekły się protektoratu nad Abissynią.



Z pracy oświatowej: Kółko dramatyczne „Sokoła" w Dąbrowie.

Powódź w Lombardyi.

Po kilkotygodniowej posusze, która w ciągu obecnego lata tak się dała we znaki całemu prawie światu, w niektórych okolicach spadły ulewne deszcze, które tu i owdzie przybrały rozmiary wprost

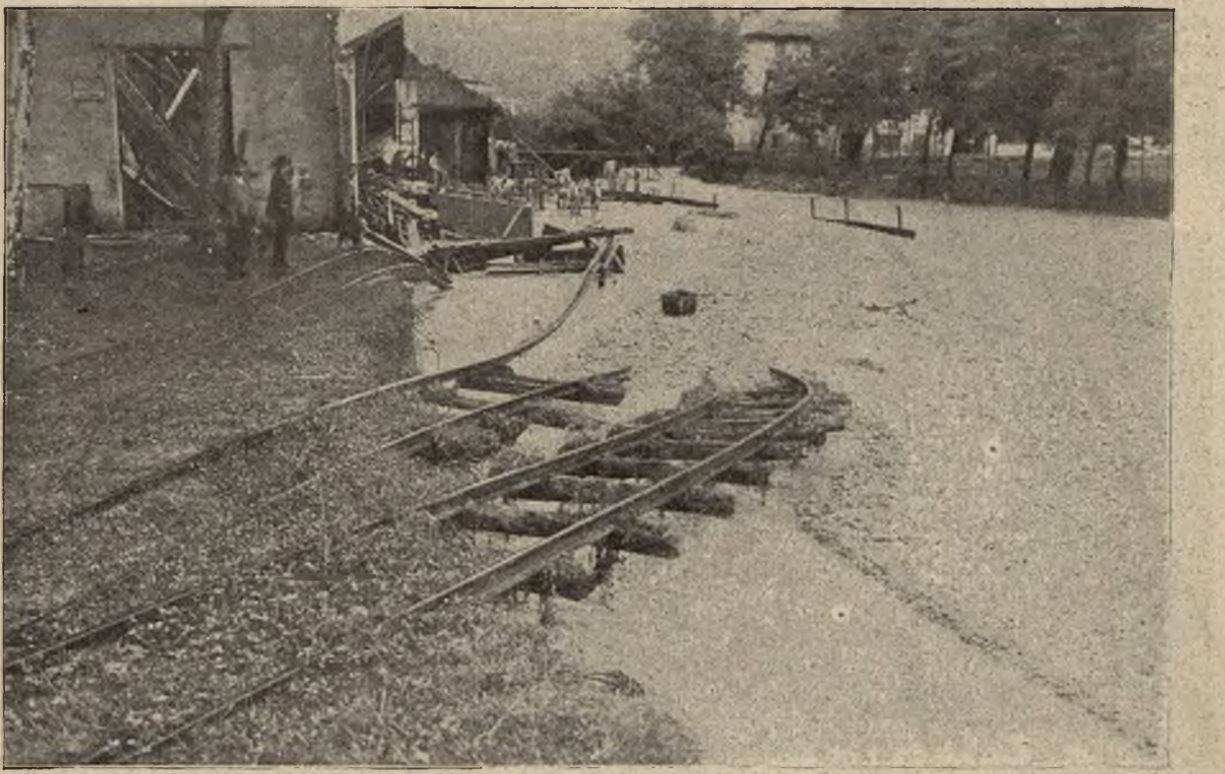


Żebrak włóczęga: 35 letni Abraham Koczman z Będzina w Królestwie polskiem.

katastrofalne. Szczególniej w Lombardyi, w sąsiedztwie jezior włoskich, oberwanie chmury wyrządziło milionowe straty i porwało nawet życie ludzkie W wielu miejscach rozhukane fale potoków pozrywały szyny i nasypy kolejowe, wiele budynków legło w gruzach, między innymi ogromne huty w Porlezza, uległy prawie zupełnemu zniszczeniu.

Ulice miasteczek górskich przedstawiają opłakany widok, zalegają je kupy gruzów, pochodzące z rozmaitych domów i kominów fabrycznych. Skutkiem zerwania mostów i zalania dróg, komunikacya z nawiedzonemi katastrofą okolicami jest prawie niemożliwa, utrudniony jest też w wysokim stopniu dowóz żywności i materyałów budowlanych.

W okolice nawiedzone powodzią wysłano wojsko, rząd wyasygnował też pewną sumę pieniężną na doraźną zapomogę dla nieszczęśliwych mieszkańców.



Powódź w Lombardyi: Zalana wodą tor kolejowy w Porlezza.



Powódź w Lombardyi: Zniszczone budynki hut w Porlezza.

Żebrak - włóczęga.

Policya krakowska przytrzymała niedawno młodego, bo około 35 lat liczącego żebraka-włóczęgę, Abrahama Koczmana, pochodzącego z Będzina w Królestwie polskiem. Jest to niezwykły typ włóczęgi, mającego „wstręt do pracy“, a żyjącego wyłącznie z wykorzystywania litości ludzkiej.

Głosy publiczne.

Z Cyrku Edison: Z dniem 1 września 1911 r. powraca „Cyrk Edison“ do dawnego lokalu przy ul Starowiślnej i rozpoczyna kampanię jesienną wspaniałym nowym programem. Od 1-go do 7 września 1911 włącznie, przesuwać się będą przed oczyma widzi interesujące zdjęcia z „Wesela sułtana z Pahang“ odbywającego się na tle wspaniałych krajobrazów z wysp malajskich. Niemniej zajmujący jest dramat, osnuty na tle życia kolejarzy p. t. „Naczelnik stacyi“, oraz biblijny „Saul i Dawid“. Część humorystyczną reprezentować będzie arcykomiczny obraz „Maciuś zgubił igłę“, oraz „Uparta samobójczyni“, a aktualny i niedościgniony „Żurnal Pathego“ przynosi przegląd najważniejszych wypadków ostatniego tygodnia

Atrakcyą programu jest efektowane zdjęcie „Straż pożarna w Krakowie“ z okazyi święta strażackiego patrona św. Floryana Doskonale udany obraz.

Przedstawienia odbywają się codziennie o godzinie 8-mej wieczorem, zaś w niedzielę i święta po dwa przedstawienia o godzinie 4-tej po południu i o 8-mej wieczorem.

Kącik humorystyczny.

W kłopocie.

Do dyrektorki szkoły żeńskiej zgłosiła się pewna obywatelka ze skargą, iż uczenice obrabowały cały jej ogród z kwiatów.

— Doprawdy, nie wiem sama, co mam teraz zrobić — rzecze czcigodna dama po wysłuchaniu sprawy — czy mam je ukarać za splądrowanie ogrodu, czy też pochwalić; panienki wówczas urządzały „święto kwiatka“ na dochód miejscowej ochronki!...

Przy odjeździe pociągu.

Rzecz dzieje się w Zakopanem na dworcu.

Pani Melania odprowadza swego męża, który na niedzielę przyjechał w góry, aby się trochę rozruszać. W chwili czułego pożegnania, rzecze małżonek do ucha pani Melanii:

— Do widzenia więc w sobotę wieczór! Proszę się jednak, nie zapomnij, iż przysięgłaś mi wierność dozgonną.

Pani Melania wydobywa z kieszeni chustkę, robi spokojnie na niej węzełek i oświadcza:

— O! możesz być zupełnie spokojny! Teraz już nie zapomnę z pewnością!...

Ze świata kobiecego.

Różnorodność mody.

Z kończącem się latem każda kobieta, lubiąca się ubierać, wybiega myślą naprzód, pełna ciekawości, jaką modę przyniesie przyszły sezon. Obok tego pytania idzie drugie: kto decyduje o modzie? A zatem odpowiem. Decydujący głos w tym względzie ma cztery, czy pięć magazynów paryskich, których właściciele opłacają specyalnych artystów, czy artystki. — Ci wykonywują odpowiednie rysunki,



Suknia wieczorowa *Messaline* z jedwabiu mieniące o (żółty z różowym), haft w żółtych i różowych tonach. Stanik przybrany chusteczką z chifonu, dół rękawa koronką.

zaprowadzają zmiany, upiększają, ożywiają dawne modele, rzecz naturalna porozumiewając się między sobą, aby w głównych konturach typy ich były jednolite. Poza tem kilkanaście innych magazynów paryskich, nienależących do bloku, usiłuje puszczać w świat własne modele. Są one zazwyczaj trochę spóźnione i ekscentryczne, dla zatarcia śladów imitacyi, niemniej nie przestają być imitacyą. Magazyny, postępujące w ten sposób, wprowadzają wielce niepożądaną anarchię, różnorodność typów, kakofonię barw, na której wychodzą dobrze właściciele magazynów, źle gust publiczności. Winić tu jednakże trzeba charakter Francuzek, goniących wiecznie za różnorodnością i pragnących zaćmić bliźniego. Olbrzymio różnią się pod tym względem Angielki. Z wyjątkiem nielicznych ekscentryczek, za któremi oglądają się na każdej plaży czy ulicy, ogół dystyngowanych Angielek ubiera się podobnie. W tym roku takim, że się wyrażę, uniformem, jest strój biały trykotowy lub włóczkowy. Nad brzegiem morza widuje się szeregi kobiet w spódniczkach i żakietach z włóczki, ręcznego wyrobu (maszynowe, jako niedobrze piorące się, nie bywają używane), w takichże beretach, półbucikach płóciennych o kauczukowej podeszwie i białych pończochach. Taki sam strój noszą panienki podlotki, których mocno odkryte nogi obciągnięte są w białe z cienkiego sukna lub welnianej krepy kamasze. Mali chłopcy odziani są w białe majteczki i takiż *sweeter*. Malcy do lat dwóch w trykocik wciągany, jednolity. Na wypadek deszczu każda angielska *lady* czy *miss* ma zarzucony na ramieniu płaszcz z cienkiej tafty kauczukowanej. Ta jednolitość stroju ogółu eleganckich Angielek jest czemś niezmiernie ładnem i w dobrym tonie. Dopiero do *table d'haute*'ów i na reuniony występują strojnie, barwnie i różnorodnie.

Jednostajność taką w ubraniu nawet na uroczystości ślubnej można było podziwiać w Paryżu w kaplicy przy ambasadzie Wielkiej Brytanii, w orszaku ślubnym p. Maryoty Carnegie, córki słynnego równie z swych bogactw, jak z niesłychanej ofiarności społecznej filantropa, fundatora niezliczonej ilości bibliotek publicznych. Sama panna młoda zainaugurowała przystrojenie sukni ślubnej złotemi koronkami. Wiele kobiet (szczególniej z tych najbardziej zazdrosnych) sarkało na zrywanie z tradycyą. Sarkało zupełnie niesłusznie; dawniejszym jest zwyczaj haftowania sukien ślubnych złotem, niż pozostawiania ich wyłącznie białemi; damy średniowieczne, wychodząc z zasady, że do ślubu trzeba wdziać najbogatsze szaty, miewały je zawsze haftowane złotem. Ale mniejsza o racyę dawnego zwyczaju, dość że suknia złotowłosej panny Maryoty była przystrojona złotem i była prześliczna; biała atłasowa, o długim trenie kwadratowym, tworzącym płaszcz dworski, przykryta była cała białym, jedwabnym muślinem, przystrojonym u dołu wstawką złotą, szeroką na pół metra, cudnej ręcznej roboty. Także koronka tworzyła chusteczkę Marie Antoinette; wpasie złota gaza, otaczająca talię, spadała długiemi szarfami po lewej stronie, zakończonemi żołędziami sadzonemi brylantami. Welon z brukselskiej koronki spływał z pod girlandy z kwiatu pomarańczowego.

Wszystkie druhny zaś wystąpiły ubrane jednakowo: suknie z białego, haftowanego *linon*, rozszywane wstążkami *fraise écrasée*, przykrytemi *linon*, paski z kokardami z takichże wstążek, kapelusze *fraise* z tengali, płaskie, olbrzymie a lekkie, podpięte leciuchną panamą z białych półpiór, przytwierdzonych kosztowną egretą. W rękach bukiety z róż. — Strój taki miały na sobie dwie pierwsze druhny *(bridemaids)* jak i maleńkie siostrzenice pana młodego, Hugona Gurney, niosące tren panny młodej. Taka solidarność stroju kobiet, biorących udział w jednej uroczystości, jest czemś bardzo sympatycznem, takie nieprześciganie się w nim czemś, że pozwolę sobie tak się wyrazić — rycerskiem.

W kilka dni później w tejże kaplicy odbył się ślub córki milionera francuskiego, panny Ferraud. I oto o ile strój milionerki Amerykanki był prosty a bogaty, o tyle strój paryżanki, nie wyglądając bogato, był niesłychanie drogi, z powodu pracy, jaką w niego włożono i w najwyższym stopniu skombinowany. Oto na atłasowym szkicu *princesse* wykonana z najwęższych wstawek walansienki spajanych ręcznie, obszyta u dołu lampasem na 35 cm. szerokim, wykonanym z koronki walansienkowej na 2 cm. szerokiej, marszczonej i przyszywanej grzbiecikiem tak, że tworzyła coś jak wał śniegu, jak poszycie zimowej szaty po dniu wilgotnym. W ten sam sposób wykonano króciutkie bolero. Oryginalnością było przybranie głowy, uczesanej stosownie do obecnej mody, płasko i z rozdziałem, przez którą przeciągnięta była przepaska z kwiatów pomarańczy, zakończona przy uszach dwiema wielkiemi liliami. Orszak mienił się wszystkiemi barwami, jakie tylko obecna moda ma na swej palecie.

I to ma swój wdzięk. *Ramo...*



Toaleta spacerowa *Marion* z fularu pomidorowego z odpasowaniem białych pasków, pokryta *point-lace*. Pasek z wstążki łączonej skówkami złotemi. Kapelusz czarny, parasolka biała, z pomidorową podszewką.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 33.

Logogryf:

P
K o ń
R o w e r
A s s
t
Z a n
S o n e t
B a s i s t a
I c h n e u m o n
E l i z a w e t p o l
P o r t u g a l c z y c y
B e n d a r a b b a s
B r a t a n i c a
B i e b r z a
S o j k a
L i n

Szarada: Tam. mat.

Zadanie konikowe: Nie pomoże szwarc ni mydło, kiedy panna jak straszydło.

Szarada: Bandurski

Zadanie do przestawienia: Krowa, co dużo ryczy, mało mleka daje.

Łamigłówka:

Pac
aga
aar
wal
ara
men
nie
ton
tak
ali
war
sen
ewa
wór
oka
yak
alf
eis
czy
źle

Zagadka: Oka.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Wojkowski Tarnopol, L. Brzostowski Kraków, J Strojek Podgórze, J. Górecki Sanok, O. Górkowa Chyrów, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, M. Planecka Kraków, F Gebhardt Poronin, J. Łopatkiewicz Sambor. R. Knapik Kraków, J. Kopczyńska Bierzanów, D. Sedyńska Zakopane, J. Jakubowska Kraków, S. Wiewiórowski Stanisławów. H Wilczkiewicz Sambor. C Lipiński Zakopane, S. Ropski Warszawa, Z. Radoszewski Tarnów, M. Więckowska Warszawa, Z. Długołęcki Petersburg, J. Przeworski Lwów, S. Türk Kołomyja, J. Singer Tarnopol, H. Grabowski Jasło. J. Michalski Sanok, J. Bandrowski Częstochowa, J. Lipski Kraków, H Bernstein Warszawa, J. Frankowicz Staszów, F. Schmidt Wiedeń, J. Urban Lwów, B. Michalec Zakopane, T. Nikiel Nowy Sącz, J. Horak Tarnobrzeg, C. Wang Nisko, J. Engelberg Rzeszów, J. Rosenbaum Jasło, H Górska Zamość, Z. Radziński Rzeszów, M. Lewicka Kraków, A. Balicki Tarnopol, Z. Gliński Kołomyja, J. Świrski Sambor, M. Kwaśniewski Skierniewice, K. Kaim Kraków, S. Kowalówka Kraków, W. Kowalówka Kraków, J. Czarkowski Stryj, K. Michalski Jaworów, D. Łapiński Kraków, R Dąbrowski Janów, J. Trepka Sandomierz, T. Mazaraki Piotrków, A. Siatka Kraków, K. Thun Warszawa, M. Popiel Rzeszów, A. Dużak Kraków, S. Bukowski Kijów, H. Maciejowska Sandomierz, J. Jahoda Cieszyn, H. Piątek Podwołoczyska, J. Obraczay Sanok, W. Radwański Zakopane, M. Trojacka Wiedeń, L. Sapecki Szczawnica, H. Łopatyńska Lwów, K. Broda Drohobycz, A. Serwatowska Warszawa, J. Zielińska Rzeszów, M. Czernecki Złoczów, J. Karaś Zakopane, W. Urban Wiedeń, M. Kruszelnicka Tarnów, J. Sawliński Przemyśl, K. Ciszewski Radomyśl, S. Dziurzyński Zakopane, M. Zięba Sanok, J. Ostrowski Czerniowce. S. Lindenbaum Stanisławów, K. Armatys Lwów, W. Dziedzic Kraków, A. Augustynowicz Kraków, M. Gruszczyńska Sambor, J Ryś Rzeszów, J. Stępień Budapeszt, W. Kaliszewski Petersburg, M. Ciesielski Poznań, K. Wyka Tarnobrzeg, S. Krzyżanowski Podgórze, F. Jeziorski Krynica, M. Sontag Piotrków, W. Laurecki Rzeszów, J. Lemiszewski Stanisławów, M. Antosz Kołomyja, W. Włodek Warszawa, K. Sadowska Skierniewice, J. Malinowska Winnica, R. Czechowicz Tarnów, J Zachara Mielec, Z. Potocka Kraków, A. Pankowski Kraków, H. Gromnicka Lwów, J. Darowski Petersburg, M. Krokowski Warszawa, S. Kaniowski Tarnobrzeg, J. Leszczyński Sanok, H. Krogulska Warszawa, M. Glińska Stanisławów, K. Armatowicz Petersburg, Z. Kisielewski Rzeszów, J. Wojciechowski Lwów, W. Lipowski Jasło, M Oleksiukowa Holeszów, M. Arbesbauer Lwów, K. Szumańska Rawa Ruska, W. Siuta Widynów, K. Fuchs Czeremchów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **W. Radwański, Zakopane.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

MAKSYM GORKIJ.

Przygoda dyabła.

Było to w nocy przed świętem „Trzech Króli“. Panowała odwilż, mgła gęsta, mlecznej białości leżała na ulicach i — zasłaniając domy — ukrywała pod swą zasłoną wszystko: dobre i zło. Latarnie, mgłą odziane, rzucały mętne światło i nieruchomie sterczały w powietrzu, ziemi wcale nie rozjaśniając. Powietrze duszne i nieruchome ciężyło nad światem i napełniało go beznadziejnością, ludzie pojawiali się i jak upiory znikali; tony zdawały się rozpraszać, a nawet głos dzwonów, przemoczony wilgocią brzmiał ciężko i ponuro... rozpraszając się w mgle, ginął bez echa i nie budził wcale nastroju...

„O tęsknoto! Pieszczoto ty moja! Jakże mi miło, że tuląc mnie w swe zimne objęcia, koisz mą zbolałą duszę! Jak w burze brzemienna chmura w gorącym dniu letnim napawa biedną, spragnioną ziemię dobroczynną wilgocią i zwiędłe kwiaty do życia pobudza, tak ty — tęsknoto — odświeżasz osamotnione me serce, pod wpływem chłodnego powiewu twego zakwitają w niem kwiaty mojej nienawiści do owego mgłą osłoniętego i sztywnego życia i do bezdusznych ludzi, którzy mu niewolniczo służą“.

Tak mówił dyabeł. Ze słów tych każdy, posiadający zdolność oceny, pozna, że był dekadentem i zwolennikiem Nietszego... a zatem nietylko rzeczywistym dyabłem ale... i postępowym.

Mimo mgły chodził przez ulice i szukał domu, u którego wejścia nie było znaku krzyża.

„Jak strasznie wygląda na tej ziemi“ — myślał sobie. „Ja chyba nie mam na niej czego szukać — ani jednej duszy, którąby zasługiwała na uwagę! Ludzie są bezczynni, zarozumiali i małostkowi i nie budzą najmniejszego zainteresowania... Szczególnie teraz, gdy wymaga się osobistej doskonałości, gdy walka przeciw namiętności tak wzrosła. Głupcy! Myślą, że są zdolni do namiętności, a tymczasem została im tylko chęć używania...

...Lecz oto małe okno, a krzyż mi wejścia nie zabrania — więc wejdę! Może zobaczę tam coś ciekawego!...

I przemienił się dyabeł w płat śniegu, a wcisnąwszy się do izby przez dolną szparę okna, bez szmeru spadł na deskę u okna.

Przy oknie stał stół, a przy nim siedział Iwan Iwanowicz Iwanow. Sądząc z jego zdolności umysłowych, był człowiekiem „inteligentnym“, zawód jego stanowiła dążność do umysłowej doskonałości, którą nabywał podczas długich hulanek nocnych ze znajomymi i przez lektorę pożytecznych książek. Ponieważ zdarzenie to miało miejsce w ostatnim dniu odpustowym, Iwan Iwanowicz zastanawiał się nad wypadkami ostatnich dwóch tygodni i był głęboko zamyślony. Nie zauważył przeto ani płatu śnieżnego, ani jak ten przemienił się w małego dyabełka.

Z zamkniętemi oczyma starał się Iwan Iwanowicz uprzytomnić sobie obraz, który niedawno był widział w czasopiśmie: Potwór morski trzymał w swych ramionach raka, którego pożerał. „Rak... to ja“, myślił Iwan Iwanowicz, „a potwór ssie me soki żywotne. Pragnę zwalczać jego zabójczy wpływ i pokonać moje namiętności... ale potwór chwyta mnie w swe drapieżne ramiona i ciągnie tam, gdzie Bakchus orgie swe wyprawia, gdzie w człowieku budzi się zwierzę, a wszystko, co w nim czyste, zamiera... Użyję wszystkich sił swoich i całego wpływu rozsądku mego, aby zrobić ze siebie osobnika, w którym, jak w echu odbiją się się wszystkie szlachetne i wzniosłe dążności mojego jestestwa... Chciałbym mężnie stać w obronie swych praw... a także w obronie lekceważonych praw innych ludzi... mych współbraci... ale zamiast tego byłem na trzech balach maskowych... kobieta... jest piękną... to prawda! Boże! jak piękna... ale zawsze jest żoną drugiego... ...obca kobieta... ach — jak podle sobie postąpiłe! ...Choć nie jest mi całkiem obcą... jest żoną Jegora — a Jegor jest moim starszym przyjacielem, moim najzaufańszym... tak... tak! Ta okoliczność zmniejsza może nieco... moją winę... w każdym razie!... I to dobrze, że się zawsze do winy przyznaję, to mnie nieco w mych oczach podnosi... to jedyne pocieszające! Ale do dyabła... gdybym mógł wyrwać namiętności z mej duszy“!

— Spróbój pan — odezwał się dyabeł uprzejmie. Jeśli pozwolisz chcę ci być przytem pomocnym“...

Iwanowicz podniósł głowę i zadrżał; na widok dyabła dresz zawsze przejmuje.

— Wybacz pan... nie zauważyłem, żeś pan wszedł... jeśli się nie mylę, mam zaszczyt... z dyabłem?

— Tak jest — odparł dyabeł — lecz proszę sobie nie przeszkadzać!

— Hm... hm... jakiej okoliczności zawdzięczam tę przyjemność?...

— Przechodząc tędy... wstąpiłem. Dziś, jak wiadomo, jest dzień „Trzech Króli“, nas więc dyabłów wszędzie wypędzają. Na ulicach mgła i wilgoć... zima tego roku brzydka! A ponieważ wiem, że kierujesz się pan ludzkością...

Iwan Iwanowicz był w kłopotliwem położeniu. Nigdy nie zastanawiał się poważnie nad kwestyą eksystencyi dyabła, a teraz czuł się nagle w jego mocy.

— Bardzo... się cieszę — powiedział, uśmiechając się.

— Siedzisz pan na desce od okna... może niewygodnie? Proszę... wejdź pan bliżej...

— Nie fatyguj się pan! Ja — podobnie jak pan — potrafię się znaleść z łatwością w każdem położeniu, choćby było bardzo niewygodne...

— Hm... bardzo słusznie! — mówił Iwan Iwanowicz, myśląc, że też ten dyabeł bardzo uprzejmy.

— Zdaje mi się, żeś pan objawił życzenie oczyszczenia swego serca, czy tak?

— Tak... bo wie pan, człowiek mimo postępu swego rozumu zawsze jest jeszcze zbyt słabym w walce z namiętnościami... ale wybacz pan!... jeśli dobrze słyszałem ofiarowałeś mi pan swoją pomoc... w tem przedsięwzięciu... prawda?

— W istocie... i powtarzam, że chętnie jestem na pańskie usługi!

— To jednak nie leży w pańskiej naturze?

— Ależ — Iwanie Iwanowicz! — zawołał dyabeł, wywijając ramieniem — czy sądzisz, że nie sprzykrzyła mi się już ta moja dyabelska natura?

— Być może.

— Sumiennie mówię. I człowiekowi znudzą się wreszcie złe uczynki i szczerze ich nieraz żałuje...

— A gdy zgodzę się na jego pomoc? — rozważał Iwan Iwanowicz — mogę odrazu stać się doskonałym — bo dyabeł jest wszechmocny! Ach! jakby się też dziwili moi znajomi!...

— Czy ma pan może jakie wątpliwości? — nalegał dyabeł — powiedz więc pan!...

— Hm... ba... widzi pan... to chyba bardzo bolesna operacya?

— Dla takich tylko, którzy mają twarde serce, którym uczucie świadomie i głęboko w serce wrosło...

— A ja?

— Pan masz — wybacz pan, bo ja tu zarazem lekarzem — pan masz serce miękkie i nieco już zwiędłe... jak np. zbyt dojrzała rzodkiewka... Gdy więc z serca pańskiego będę wyciągał namiętności, które pana palą, doznasz takiego uczucia, jak kogut, gdy mu się pióra z ogona wyrywa...

Iwan Iwanowicz namyślił się i rzekł po chwili:

— Pozwól pan, że go o coś zapytam. Czy domagasz się pan mej duszy w zamian za swoją pomoc?

Dyabeł zeskoczył z okna na podłogę i kręcąc niespokojnie pazurami, odparł:

— Duszy? O nie! Nie, proszę... tej mi nie potrzeba... Cóż pan sądzi?! Dokąd miałbym ją?... wybacz pan ...chciałem powiedzieć, pocóż mi ona? Ach, nie tak, nie tak! Chciałem powiedzieć...

Iwan Iwanowicz zrozumiał, że obraził dyabła i zirytował go swem pytaniem.

— Dlatego się pana o to pytałem, bo jest u was zwyczajem...

— Tak było dawniej, gdy można było jeszcze znaleść silne dusze...

— Pan, zdaje się... gardzisz moją duszą...

— O nie! Ale... dzisiaj nie chcę odszkodowania... bo widzisz pan... ciekawy jestem poznać człowieka doskonałego!

— Hm... powiadasz więc pan, że operacya tego rodzaju ani jest bolesną, ani niebezpieczną?!

— Zapewniam pana! Z moją pomocą staniesz się doskonałym bez wielkich zabiegów... Jeśli zgadzasz się na to, chcę dla próby wyciągnąć cokolwiekbądź z pańskiego serca!

— Pro... szę...

— Doskonale! Cóż panu najbardziej dolega?

Iwan Iwanowicz myślał, bo trudno mu było powiedzieć, której z całego szeregu namiętności chciałby się prędzej pozbyć.

— Nie, zacznij — proszę — od najsłabszej?

— Mnie to jest obojętne... co pan rozkazujesz?

Iwan Iwanowicz milczał. Choć często analizował swą duszę, albo dlatego właśnie, że to czynił, panował w niej największy nieład; wszystko było w niej pogmatwane i pomięszane... i choć z całym spokojem starał się teraz swe uczucia uporządkować, nie znalazł w swej duszy ani jednego uczucia ściśle określonego, ani jednego zupełnie wolnego od innych domieszek.

Dyabeł nie zwlekał dłużej i proponował mu:

— Usuńmy może ambicyę — ta chyba nie jest zbyt wielką u pana!

— Dobrze! — rzekł Iwan Iwanowicz, westchnąwszy. — Wyciągnij ją pan!

Dyabeł zbliżył się doń, dotknął ręką jego piersi i znów prędko rękę cofnął — a Iwan Iwanowicz uczuł ostre ale przyjemne ukłucie, jak to, kiedy się drzazgę z palca wyciąga.

— Rzeczywiście nie boli! — zawołał z ulgą. — Pokaż pan, jak wyglądała moja ambicya?

Dyabeł wyciągnął do niego rękę; na dłoni leżało coś małego, skurczonego, bezbarwnego, podobne do ścierki, którą zwykło się kurze ścierać. Iwan Iwanowicz obejrzał swoją ambicyę i wzdychając ciężko, zawołał:

— Gdy pomyślę, że ona przecież jest cząstką mego serca... żal mi się robi!

— Może więc pozwolisz, bym współczucie z pana wyciągnął?

— Czy potrafię się bez niego obejść?

— Przecież nie przynosi panu żadnej korzyści!

— W każdym razie jest ono uczuciem ludzkiem i przyjemnem.

— A ze złośliwością co będzie?

— Tę mi czemprędzej wyciągnij!... Do dyabła z nią... ale przebacz pan...

— Nic nie szkodzi, nie żenuj się pan!

(Dokończenie nastąpi).

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumień **Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego**
Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny). Telefon 331

Niema kurzu. Niema kosztów naprawy,
MATERACE
Niema robactwa.
„Polonia“ są do nabycia we wszystkich większych składach mebli.
Długoletnia gwarancya.

Pierwsza galicyjska fabryka patentowanych
sprężynowych materaców „Polonia“
sp. z z. odp. Podgórze.



Posiadacze **koncesyj szynkarskich, właściciele gospód, sklepów, restauracyj,** mogą stworzyć sobie poważne źródło dochodu, gdy pobierają opłatę za grę na **Pathéfonie.** Nadto.

Pathéfon

ustawiony w lokalu, powiększa ściąg, przyciąga i zachęca ludzi do częstszego odwiedzania lokalu i do większej konsumcyi jadła i napojów. — **Pathéfon** gra i śpiewa, czysto, wyraźnie i głośno. Gra szafirem na bardzo trwałych płytach. — Doskonale gra do tańca! Kto ma Pathéfon, zawsze się dobrze zabawi! — **Dlatego spieszcie się z nabyciem Pathéfonu i nie dajcie się uprzedzić konkurentowi.** — Cenniki darmo i opłatnie

S. Grudziński i T. Berger, Kraków, ul. Szewska 10|2.

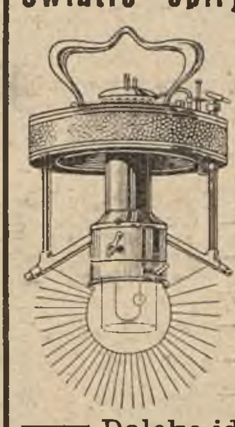
Każda Pani

która o zdrową pielęgnacyę skóry dba, a przeważnie piegi zgubić chce, jak i miękką skórę i białą cerę utrzymać zamierza myje się tylko
Mydłem „Steckenpferd“
z mleka liliowego
(Marka ochr. Steckenpferd)
Bergmanna & Co., Tetschen a. E.
sztuka po 80 hal. do nabycia w aptekach, drogeryach i składach perfumeryi.



Do nabycia u firmy **Reim i Ska** Kraków, Rynek 37.

Światło spirytusowe „Wiktorin“



jest najlepszem, najdoskonalszem i efektownem światłem światowem dla wszelkich zapotrzebowań w życiu!

Zalety:
Minimalna konsumcya materyału, nieograniczone używanie, nieograniczona trwałość, absolutne bezpieczeństwo, niedorównana siła światła, łatwy transport, gustowny wygląd.

Patentowane we wszystkich krajach. — Odznaczone pierwszymi nagrodami.

Daleko idąca gwarancya.
Lampy i szkła w pięknym wykonaniu według osobnego cennika i prospektów.
FABRYKA TOWARÓW METALOWYCH
Wiktorin & Co.
Wiedeń V., Margarethenstrasse Nr. 120.
Skład wzorów Wiedeń VI., Magdalenenstr. Nr. 6.
Składy: w Bernie, Lichtensteingasse 2.
w Budapeszcie, Baross utca 1.

Paryskie wyroby gumowe
„Olla“ „Neveripp“ „Ramses“
polecają najtaniej
Sporn i Ska, Kraków
Floryańska L. 14.

OBUWIE „MARSO“



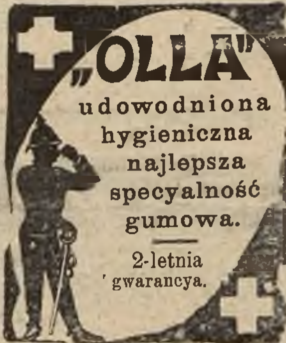
W cenach K 10·50, 12·50, 16·50

Kraków, Grodzka 20.

Nowości na jesień

w materyach na suknie i bluzy
w najróżnorodniejszych gatunkach i wyrobach oraz
w bardzo pięknych, nowych barwach i odcieniach
od najlepszego do najtańszego gatunku jakoteż **i najnowsze modele sukien, kostyumów, bluzek, kapeluszy, futer** i t. d. znajdują się już w wielkiej ilości na składzie.

Zupełnie darmo
wysyłamy na żądanie zarówno nasze bogate
wzory próbek
jakoteż i wspaniale ilustrowane
żurnale mód.
Wystarczy napisać kartkę korespondencyjną!
Wielki Magazyn „Au Prix Fixe“
Wiedeń I., Graben 15/7,
wejście Habsburgerstrasse 1.



„OLLA“ udowodniona hygieniczna najlepsza specyalność gumowa.
2-letnia gwarancya.

Wszędzie do nabycia.
Cennik darmo z fabryki gumy
„OLLA“
Wiedeń II/56.
Praterstrassse Nr. 57.

Najtańsze maszyny do robienia pończoch
w Austro-Węgrzech dostarcza Dom wysyłkowy
J. F, Nouzák, Praga (Czechy) **Riegerquai 24/47.**
Cenniki darmo. Dzienny zarobek 4 korony.

Radical-Katheter
przeciw **zapaleniu cewki moczowej i wypływowi** z najlepszym skutkiem w najkrótszym czasie działający. Użycie według Dra Cave. Zawsze pewny skutek. Sensacyjne! Sztuka K 6 za pobraniem. Cennik bezpłatnie. **Gummischlosser, Wiedeń IV.,** Schwarzenbergplatz 15|D.

ZAKŁAD KRAWIECKI
JÓZEFA NOWORYTY
w Krakowie, ulica Sławkowska L. 30.

Dla Panów

Artykuły Hygieniczne gumowe i rybie 12 sztuk sort. I jakości pod gwarancyą Kor. 3·— i 4·—
Przy odbiorze 3 tuzinów daję flakon perfum w dowolnym zapachu **gratis.** Wysyłki odwrotną pocztą uskuteczni
L. Korzeniowski, Kraków, ul. Floryańska L. 22.

„Wisła“

PEDANCKA PRALNIA BIELIZNY
oraz Chemiczna Pralnia i Farbiarnia garderoby
w Krakowie, przy ulicy Brackiej L. 5.
Dostawa w 3 dniach a na żądanie w 6-ciu godzinach bez dopłaty.

PERFUMY, MYDŁA, PUDRY
Kremy do konserwowania i upiększania rąk i twarzy.
Aparaty kosmetyczne do masowania.



Krem i Otrąbki. Abarid do zmywania twarzy.
Krem angielski Dra Orgleya przeciw opaleniu.
Boroxyl przeciw piegom.
Tarool przeciw wypadaniu włosów.
Schampoo-Tarool do mycia głowy i przeciw łupieżowi.

Przybory toaletowe.
Szczotki, grzebienie, lustra.
Rurki do włosów.
Gąbki toaletowe.
Wanny i miednice gumowe.
Perolina i rozpylacze do desinfekcyi powietrza.

LAWN-TENNIS



Rakiety, piłki, prasy.



PIŁKI NOŻNE.
Największy wybór ameryk. łyżew „WROTKI“ na kółkach
oraz wszelkie artykuły sportowe na sezon letni polecają
Reim i Ska, Kraków
Rynek 37, Linia A-B.

Przybory do podróży.
Flaszki podróżne, kubki papierowe, gumowe, metalowe składane.
Necesery i torby dla turystów.
Poduszki do wydymania.
Przybory rybołowcze.
Artykuły kąpielowe.



Przyrządy gimnastyczne i ogrodowe.
Sandały hygieniczne, obówie letnie.



Hamaki ogrodowe.



Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył J. Badura, Rożdzień.

Pierwsze z trzeciem, jesteś nim
I nieraz się chlubisz tem,
A gdy końca temu brak
Za wioskami! Znasz je wszak?
Trzecie samo, listu broń
Od zniszczenia go więc stroń!
Drugie z trzeciem, koniec precz,
Zgadnąć, bardzo łatwa rzecz
Znaczy bowiem to, co los.
Całe, zabierz śmiało głos,
Gdyż to jest Macierzy syn,
Jak się zowie?... W tem to klin!..

Łamigłówka.

Ułożył J. Menczak, Radymno.

Podane wyrazy odpowiednio uzupełnić. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko ustawy, o której wprowadzenie tak znowu ubijają się pruscy hakatyści.

— oda
b — t
kre —
— awa
— zew
spi —
lec —
— zar
— ima
pol —
uła —
— kar
— zaw
sno —
okn —
— ina
— nna
kru —
b — b
— ilk

Arytmogryf.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Zamiast liczb wstawić głoski. Pierwszy rząd z góry na dół i ostatni z dołu do góry podadzą nazwiska dwu polskich powieściopisarzy.

1	3	7	1	8	
2	12	18	3	1	
3	17	14	3	4	
4	9	13	16	7	
5	6	2	9		
6	8	4	3	1	
7	19	2	3	5	
4	18	3	14	6	20
1	3	20	5	1	3
8	18	11	2	19	1

Znaczenie wyrazów: 1. Ptaki. 2. Inaczej koń. 3. Pasmo górskie w Afryce. 4. Stacya kolejowa niedaleko Kołomyi. 5. Tyle, co nic. 6. Tyrolski dopływ Adygi. 7. Inaczej słowo. 8. Tłuszcz. 9. Ptak domowy. 10. Naczynie kuchenne.

Kwadrat magiczny.

Ułożył D. K. Tatara, San Genesio.

Kwadraty i kreski, zastąpione odpowiednio literami, utworzą szereg wyrazów, których rząd środkowy, pionowy i poziomy, poda nam nazwisko polskiego malarza.

— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
□ □ □ □ □ □ □
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —

Znaczenie wyrazów: Nazwa morza, dzielącego Europę od Azyi. 2. Miejscowość grecka słynna bitwą z Persami. 3. Część ubioru kobiecego. 4. Szukany wyraz. 5. Znana gra w karty. 6. Dopływ Warty w Poznańskiem. 7. Prawo starszeństwa.

Łamigłówka.

Ułożył M. Czeczótka, Podłęże.

Podane wyrazy uzupełnić w ten sposób, aby pierwsze litery, czytane z góry na dół, utworzyły tytuł jednej z powieści Tołstoja:

— rena
— apis
— apad
— mant
— orea
— kord
— nlou
— liza
— auka
— rena
— imfa
— larm

Zadanie do przestawienia.

Ułożył K. Fuchs, Czeremchów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Nie każdy żebrak szeroko skacze na dzicz, co mu za nici.

Szarada.

Ułożył J. Badura, Rożdzień.

Pierwsze, to jest coś twardego
Dodaj zgłoskę, więcej tego,
Drugie łatwo odgadniecie
Ma to igła, ma też dziecię.
Całość nazwa bohatera,
Męża nader walecznego
Który, prawie sto lat temu
Stał w obronie kraju swego.

Jako nagrodę za rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Kazimierza Przerwy Tetmajera:* **Zatracenie.** Romans w dwu tomach.

Z dziedziny kosmetyki.

Odpowiedzi.

M. Z. Otrąbki abaridowe wyrabiane są przez specyalistów chemików z cebulek białej lilii. Przy myciu i w działaniu na udelikatnienie i świeżość cery nie mają dotychczas sobie równych, o czem twierdzić można z doświadczenia bardzo licznych odbiorców i podziękowań. „Wągryna“ przygotowana jest specyalnie przeciw czarnym punkcikom na twarzy. W skutkach bardzo dobra, nieszkodliwa i nie drażniąca skóry. Przy stosowaniu wągryny używać najlepiej mydło Dra Krysiewicza.

Celinie, Tarnopol. -Puder płynny wyrobu Centr. Labor. jest zupełnie niewidoczny i stosunkowo bardzo tani. Z droższych wymienię „Royal caprice Gossa“.

Stanisławie. Na łupież zalecić możemy tylko esencyę i mydło tataro-chmielowe.

Wszystkie środki kosmetyczne zalecane w tygodnikach i pismach fachowych warszawskich otrzymać można
we Lwowie, ul. Akademicka L. 21
w magazynie kosmetyczno-perfumeryjnym E. Pawłowskiego.

Najnowszy wynalazek Edisona!!

Aparat do dyktowania stał się dla świata kupieckiego i we wszystkich biurach niezbędnym!



Zysk na czasie i w wydatkach!



Ogromna wygoda dla kierowników wielkich przedsiębiorstw!

Urządzenie praktyczne daje korzyści niepomierne.

Demonstracya na każde żądanie!

Ulgi w spłatach. — Cenniki darmo i opłatnie.

JENERALNY ZASTĘPCA:

Lwów ulica Sykstuska L. 2. Tel. 1560. **Józef Weksler** **Kraków** ul. Floryańska 25, filia Grodzka 71. Tel. 1241.

Opera w domu! Jedyną rozrywką w lecie na wsi i zdrojowiskach jest



ORYGINALNY GRAMOFON

z marką **„Aniołek piszący“**



grający zupełnie bez szmeru i naturalnie, który uzyskał uznanie pierwszorzędnych muzyków świata.

Największy skład na Galicyę, Bukowinę i Śląsk

we Lwowie ulica Sykstuska L. 2. Telefon 1560. **Józefa Wekslera** **w Krakowie** ul. Floryańska L. 25, filia ul. Grodzka L. 71. Tel. 1241.

poleca ogromny zapas płyt i wielki wybór najnowszych oper, operetek polskich, ruskich i żydowskich oraz zdjęcia tylko pierwszorzędnych sił artystycznych i orkiestralnych.

Ulgi w spłatach ratalnych! Cenniki wysyła się darmo i opłatnie!

Gramofon koncertowy z 5 płytami t. j. 10 zdjęć kosztuje **kor. 50·—.**

Jeneralne zastępstwo: **Tow. Akcyjne Gramofonów w Londynie.**

40.000 płyt na składzie! Na składzie płyt **40.000!**

Wszelkie płyty, prócz marki „Aniołek piszący“ kosztują kor 2·—

Rok założenia 1800 **PIERWSZORZĘDNY** Rok założenia 1800

ZAKŁAD KRAWIECKI

NA ZAMÓWIENIA

Jedyny skład ubrań gotowych

wyrobu krajowego.

Kraków ul. Floryańska 7, tuż przy Rynku

Filia: **Lwów, pl. Halicki 7** (gdzie Cent. Kawiarnia)

Związek katolic. krawców

Stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką.

Pierwsza krak. fabryka lalek Krakow, Wolska L. 1

wysyła odwrotnie każde zamówienie.

Lalki z włosami do czesania wyłącznie w naszem wykonaniu są najmilszą zabawką dla dziewcząteк w każdym wieku.



Wielk. ctm.	24	28	32	36	39	43	48	56	60	65	71	i t. d.
Cena Kor.:	1·70	2.20	2·90	3·80	5·—	6·—	8·—	12·—	15·—	17·—	2[illegible]·—	i t. d.

ZMIANA LOKALU!

MAISON DE PARIS

G. Sprung, Kraków, Grodzka 30

Skład futer wszelkiego rodzaju.

Specyalista w żakietach damskich

po cenach nader przystępnych.

ZAKŁAD WODOLECZNICZY

Dra Chramca w Zakopanem

otwarty cały rok.

Nowo wybudowane pawilony urządzone z największym komfortem. — Umieszczenie dla 300 osób. — Pokoje jednoosobowe z utrzymaniem od 8 Kor. wzwyż.



Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany

Józefa Kuleszy

naprzeciw cmentarza w Krakowie

Telefon 759.

posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca, granitu i marmuru.

Podejmuje się wykonania **grobowców** w miejscu i na prowincyi.

Józef Sperling skład komisowy

firmy

FILIP HAAS i Synowie

Kraków, Szczepańska L. 7, I. p. Telefon 2282 b.

Dywany perskie, gużone, tkane, chodniki, materye, portyery, firanki, kapy, koce, kołdry, tapety i t. p po cenach oryginalnych fabrycznych.

Tanie pierze i puch

1 klg. szarego dartego K 2·—, **lepszego** K 2·40, półbiałego I-a 2·80, białego K 4·—, I-a miękk. jak puch K 6·—, **najlepszego I-a** K 7·—, 8·— i 9·60. **Puch** szary K 6·— i 7·—, biały I-a K 10·—. **Puch** z piersi K 12·— od 5 klg. począwszy franko.

GOTOWA POSCIEL

z gęstego, czerwonego, niebiesk. lub białego poszwu, **1 pierzyna** około 180 cm. gług. 120 cm szer. wraz z 2 poduszkami, każda około 80 cm. dług. 60 cm. szer. dostatecznie napełniona, nowem szarem, puszystem i trwałem pierzem K 16·—, półpuchem K 20·—, puchem K 24·—. **Pojedyncze pierzyny** K 10·—, 12·—, 14·— i 16·—. **Pojedyncze poduszki** K 3·—, 3·50 i 4·—. **Pierzyny** wielk. 200×100 cm. K 13·—, 15·—, 18· i 20·—. **Poduszki** wielk. 90×70 cm. K 4·50, 5·—, 5·50. Prześcieradła z najl. płótna gradlowego wielk. 180×116 cm. K 13·— i 15·— przesyła za pobraniem lub za poprzedniem nadesłaniem gotówki.

Max Berger, Deschenitz Nr. 406 a, Böhmerwald.

Bez ryzyka, ponieważ wymiana dozwolona, lub zwrot pieniędzy Bogato illustr. cenniki wszelkiej pościeli darmo.

Niderlandzkie Towarzystwo ubezpieczeń na życie.

Wiedeń I, Aspernplatz 1 we własnym pałacu.

Ubezpieczony kapitał około 380 milionów K.

Rezerwa premiowa około 113 milionów K.

Bliższych wiadomości udziela

Generalna Agencya „Niderlandzkiego“ Tow. ubezpieczeń Kraków, ul. Lubicz 3.

Zastępców poszukuje się.

Dokładna robota

jest to dobry patent!



KNAPIŃSKI

Zakład własny

wyrobów ortopedycznych

dostawcy klinik uniwers. Jagiell. i szpitali wojsk.

Aparaty syst. Hesinga

do leczenia skrzywień kręgosłupa i chorób kończyn stawowych, bandaże, pasy, gorsety, pończochy gumowe bez szwu. **prostotrzymacze** dla dzieci, **nogi sztuczne i szczudła.**

Odznaczone na wystawach lekarskich złotymi medalami.

Kraków, Mikołajska 7. **Telef. 505.**

W Zakładzie wojskowo-naukowym

emeryt. Majora **A. Kornbergera** i **K. Moscheniego** rozpoczynają się dnia 1-go września nowe kursa do

EGZAMINU INTELIGENCYJNEGO

nauki prywatnej do **wszystkich klas** szkół średnich i do **matury.**

Kursa przygotowawcze do

EGZAMINU KADECKIEGO

dla Aspirantów z ukończoną szkołą średnią lub z egzaminem inteligencyjnym, rozpoczynają się **1-go października** i trwają cały rok. Po złożeniu egzaminu aspiranci mianowani zostają natychmiast **kadetami.** — Dotąd zdali ten egzamin **wszyscy** uczniowie Zakładu **z pomyślnym rezultatem.**

Dla zamiejscowych wygodny **Pensyonat.** Wiadomości udzieli Dyrekcya Zakładu w Krakowie, **„Willa Wenecya“.**

Pierwszorzędna Cukiernia **J. Noworolskiego i Ski**

w Krakowie w Sukiennicach przedtem **Rehman i Hendrich.**

Po gruntownem przerobieniu i powiększeniu lokalu w stylu nowoczesnym **została otwartą** dla P. T. Publiczności.

TOWAR DOBOROWY.

Na sezon obecny POLECA **Zygmunt Ślimakowski** **Kraków, Rynek gł. Linia A-B** (obok gł. trafiki).

Bluzy, Halki, Pończochy, Rękawiczki, Zaboty, Kołnierze, Welonki, **Torebki**, Boa i Pióra strusie, Szale, **Żakiety włóczkowe**, Parasole. Najmodniejsze przybrania do sukien i przybory do szycia.

Ceny nizkie! **Towar doborowy!**

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie. pod zarządem Pawła Madejskiego.